

Rafał Jaworski

Gdy rozum śpi, gdy śpi serce...

Sen jest lekarstwem – czytałem na tabliczkach w korytarzach pewnego sanatorium w urokliwie pięknych Pieninach. Jednak po ozdrowieńczym śnie trzeba zmierzyć się ze światem, poddać się jego dyktatowi, albo i nie. Można też śnić sen nowy poza realną rzeczywistością, ale nie ma tu nic wspólnego z byciem tu i teraz. W Apoftegmatkach Ojców Pustyni czytamy: „Abba Arseniusz, kiedy żył jeszcze w pałacu cesarskim, modlił się do Boga: *Panie, zaprowadź mnie na drogę zbawienia*”. I usłyszał głos mówiący: *Arseniuszu uciekaj od ludzi, a będziesz zbawiony.*” Można by powiedzieć, że w tej historii jawi się skrajna mizantropia radykalnych mnichów IV w. po Chr., wręcz odraza do ułomności międzyludzkich. Chyba jednak trafniej można to odnieść do człowieka zbiorowego, uciekaj od zbyt skonsolidowanej zbiorowości. Wtedy był to odruch czystej wiary przeciwko chorej cywilizacji bizantyjskiej z jej przepychem i rozkładem tkanki organiczno-społecznej. Ciśnienie społeczne na pojedynczą osobę zawsze było ogromne i jednak deprawujące - „... jeśli kogoś zobaczą o zdrowych zmysłach, to powstaną przeciw niemu, mówiąc: „Jesteś szalony, bo nie jesteś do nas podobny” – mówił inny anachoreta.

Sentencja i historia z pierwszych wieków naszej ery pasuje jak prymitywny wytrych do naszych „wspaniałych” czasów. Myślę, że również do większości kryzysowych okresów w dziejach ludzkich cywilizacji. Wprawdzie ks. Józef Tischner wskazywał, że kryzys jest obecnie permanentny, ale są w dziejach szczególne momenty, kiedy liniowa, stateczna funkcja upływu czasu wydaje się niewiarygodna. Pewnie w takim interwale przemijania przyszło nam trwać, przeżywać akty próby etycznej i wzrastać, więdnąć, ale i ostatecznie obumierać.

„Skup się na emocjach, nie na refleksji” brzmi jedna z podstawowych zasad manipulacji zbiorowością i indywidualum, które wyliczył Marek Głogoczowski¹. I dalej uzasadnia tezę następująco: „...użycie mowy nacechowanej emocjonalnie otwiera drzwi do podświadomego zaszczepienia danych idei, pragnień, lęków i niepokojów, impulsów i wywołania określonych zachowań.” Wzbudź odpowiednie upiory zacierzenia i „rozumnie”



¹ Marek Głogoczowski „Zasady manipulacji opinią publiczną”, „Opcja na prawo” 3/140, 2015 s. 28

nimi steruj. Będziesz na topie. Świeżutkim przykładem jest sterowana z kularów biznesu histeria klimatyczna czy rzekomy ucisk mniejszości seksualnych, kiedy to pozornie uciskani uciskają większość i pseudodobrem terroryzują społeczność. Klasyczna definicja istoty wyjątkowości człowieka mówi o jego rozumie, ale też że charakterystyką jego osobowości są relacje między rozumem, wolą i sercem. Gdy serce śpi budzą się upiory – taka teza jest równie uprawniona, jak i fałszywa poprzez ograniczenie innych władz osoby. Również ta, że gdy wola śpi, dochodzą do głosu demony – jest uprawniona, zastanawiająca tylko w kontekście prawdy, że gdyby ludzie sumienia nie walczyli ze złem przez jeden dzień, ukochana Ziemia – ojczyzna ludzi, byłaby piekłem gorszym od dantejskiego.

Człowiek jako czysty rozum byłby monstrum gorszym niż stado demonów, które Zbawiciel wcielił w stado wieprzy z jednego tylko opętanego, a których „Legion” skierował do wód Martwych (Mk 5, 1-16). Wyrozumowane, do granic cynizmu, działanie da się opisać funkcjami w czterech wymiarach i nie będą czysto abstrakcyjne, ale pełne krwi, okrucieństwa, nadrzędności interesu, pożądlowości władzy, zwykłej krzywdy.

Z kolei jednowładztwo serca, siedliska uczuć, może też rodzić ogromne zagrożenia. Z jednej strony serce może być „kłębowiskiem żmij”, kolebką nienawiści, z drugiej - w nadmiarze dobroci może przemieniać się w ułomny doloryzm, umiłowanie cierpienia, ale głównie w ckliwość, chorobliwą nadtolerancję, sentymentalizm, indulgencję, dyktaturę względności moralnej. Ale jednak dominacja serca to coś innego, bardziej humanitarne, niż terror emocji, najczęściej o podłożu czysto irracjonalnym.

Trzeba dodać na marginesie, że postawa konserwatywna jest faszystowską psychopatologią, nie zasługuje więc na tolerancję. Takie myśli propagował, wpływowy myśliciel XX-ego wieku Herbert Marcuse. Jako właściwą wskazywał „tolerancję represywną”, czyli jedynie to, co jest „postępowe” zasługuje na promocję, resztę się przemilcza, redukuje, skazuje na banicję. W tym kontekście słowny ryngraf: „Bóg, Honor, Ojczyzna” jest nie do przyjęcia dla postępowców glob-kultury. Trzeba pod pomnikiem żołnierzy, którzy oddali życie za wolność, promować bluźnierstwo typu: „Bób, Humus, Włoszczyzna”.

Wola jest sprawczą siłą ludzkiej osobowości. Ona warunkuje działanie. Może być skierowana do realizacji dobra lub zła, albo i obojętności wobec krańcowych wartości: - w formie po co? Cofając się do Starego Testamentu trzeba stwierdzić pewną dwoistość woli, którą Stwórca obarcza Adama. Daje błogosławieństwo, któremu towarzyszy władza nad światem zwierząt oraz obecność doskonałej towarzyski życia, ale z drugiej narzuca brzemien ograniczenia wolności człowieka: „Nie będziesz spożywał... (Rdz 2, 17). Zaczyna się dramat egzystencjalny ludzkiej osoby, która traktuje siebie jako osobę.

Dopiero harmonia ludzkich sił jest twórcza. Napisałem twórcza, co nie znaczy kreatywna we współczesnym rozumieniu terminu, czyli na siłę przełamująca wszelkie bariery etyczne i konfesyjne. Trzeba dodać ważną uwagę: istnieje też siła intuicji człowieka. Niewątpliwie jest darem danym darmo, ale trzeba też na nią pracować chłonąc i trawiąc doświadczenie. Częstokroć intuicja znaczy sporo więcej niż rozum i serce razem wzięte.

Francisco Goya żył w czasach krańcowo wojennych, bonapartyzm i budzenie się świadomości narodowych dominowały nad rozumną polityką koegzystencji. Dlatego genialny malarz, niezwykle uniwersalny w technikach przekazu obrazu, był zanurzony również w sprawach społecznych. Wyrażał moralny, nawet metafizyczny bunt – jako buntu esencja. To generowało sporą część jego dzieł graficznych, te akwaforty z akwatiną. „Okrucieństwa wojny” są tego typowym przykładem. Oczywiście, cechują się humanizmem – tzn. oskarżają człowieka zbiorowego, hierarchicznego jednocześnie, broniąc człowieczeństwa osoby i niezależnych od propagandy tamtego czasu grup społecznych. Wydaje się, że choroby geniusza i jego głuchota zrodziły w drastycznej formie „Kaprysy”, urojenia świata demonów i uwodzenia poprzez kuszenie w wersji potępianej przez Inkwizycję.

„Lecz ludzi dobrej woli jest więcej” – śpiewał przed wielu laty Czesław Niemen. Fraza życzeniowa? Czy tak jest obecnie? Nie jestem socjologiem, ale z prostej obserwacji osoby wrażliwej na to, co się zdarza, wynika wniosek, że wymóg konsumpcji doprowadził, że zdecydowaną większość populacji stanowią ludzie „letni”, „złotego środka”, przeżarci solipsyzmem. W stadnej masie mniej jest podmiotów jaskrawo złych, czyli ilościowo tyle, które jawią się jako takie dobre. Równowaga dynamiczna, choć na „zdrowy rozum” upiorna.

Podepnę się na koniec tezę, którą stawia Bronisław Wildstein w swej ostatniej analizie cywilizacyjnej: „Wyobrażenie, iż sam rozum, a więc i dysponująca nim jednostka, jest w stanie uchwycić świat w całej jego złożoności, a także zaprojektować na nowo jego idealny kształt, jest głównym źródłem kryzysu nowoczesności”. Wydaje się jednak, że rozum i moralne prawo naturalne przegrywa z technikami manipulacji, których jest bez liku i będzie jeszcze więcej przy rozwoju i terrorze płynącym z mediów społecznościowych i jednobiegunowej hipertolerancji. Byle czkawka wulgarnego celebryty staje się wyznacznikiem, wręcz imperatywem kategorycznie obowiązującym. Dlatego do kierowania społeczeństwem trzeba sprawić by „uwierzyło, że to jest cool być głupim, wulgarnym i niewykształconym”. Efekty widać u części polityków, nawet u naukowców. To, że jest się świetnym informatykiem nie znaczy, że jest się człowiekiem „wykształconym”. Jest się tylko informatykiem, czyli specjalistą w dziedzinie. Wykształcenie to nie tylko wiedza i umiejętność, to całość jako „ukształtowanie się” człowieka w harmonii z innym człowiekiem i światem, ale i wobec zła, które generuje jego wnętrze i bytowanie w różnorodnej zbiorowości. Trzeba dodać, że rozróżnienie między osobą wykształconą a tzw. „wykształciuchem” jest zasadne logicznie i materialnie sprawdzalne.

Rozum, wola, serce – te trzy, w harmonii z płonną nadzieją na lepszy świat, prostują niebezpieczne wiraze drogi człowieka i jego zbiorów. Żadnych dominacji, żadnych też „złotych środków”, żadnych okrągłych stołów pełnych kantów, żadnych nadinterpretacji, które kuszą tych, którzy mówiąc starym językiem, chcą być rządcami naiwnych dusz, narodów i wyjadaczami cywilizacyjnego miodu, bezkarności sytych i uprzywilejowanych.

Delectatio morosa

wiele lat potem

...zdawało mi się, że znaki dostrzegam,
lecz mój przyjaciel powiedział, że ja
umarłem,
nie ma mnie wcale; więc co ja właściwie
dostrzegam?
To, czego nie stworzył, czego już nie potrafi,
to, czego nie ma, w co ja tylko wierzę.

A ja widziałem światło próchna nocą;
delectatio morosa, uparte wnikanie
w strefy umarłe, *niegdyś powagą i grozą*
 płomienne
- o gdybym ja potrafił opisać te ognie,
te strefy zakazane, do drzewca gołego
przywiązać idee sierpniowych pochodów,
ze szczeliny bruku wygrzebać ostatnie
słowo wyszeptane, gorętsze od kuli
stygnej pod sercem.

Gdybym na cmentarzach mógł udźwignąć
płyty,
czytać z ich rewersów, może bym utracił
wiarę, że ta jasność, to coś ponad światło
próchna nocą,
i że ma to znaczenie dla kogoś jeszcze,
nie tylko dla wiatru.

Gdybym uwierzył, że wystarczy zdmuchnąć,
co czas już wypalił, musiałbym też uwierzyć,
że dla tego płomienia
nie warto było
być nieposłusznym Bogu,
na pysk padać

a było...

HELENA GORDZIEJ

28 VII 1928 – 7 III 2023

Nie ja się postarzałam
to drzewom lat przybyło
pogrubiały w talii
korze namnożyło się zmarszczek
/.../

Inna Kowalczyk

* * *

kolejny dzień, kolejna noc,
Wielkanoc już niedługo
niestrudzenie kwitnie morela -
ten kwiecień jest szczodry i surowy...
nie płacz, mammo,
żyjemy
obudził się Baturyn, Kruty,
odpowiedział fantom pamięci,
ale przeraźliwie trudno jest być
opancerzoną żywą tarczą
tylko do światła
krok po kroku
idziemy po spalonej trawie -
wydaje się, że słyszałem rano srokę...
nie płacz, mammo...
żyjemy

Serhij Taczyn

Wczesna wiosna

wczesna i trwożna wiosna w tym roku,
choć chłód nocą trzyma.
z nocy - w noc płynie kilka obłoków
i próbuje przepłynąć
spokojne niebo, blade, mizerne,
wyżej nieprzezroczyste.
skąd jeden wspólny dym w górę biegnie
wchodząc w kominy wszystkie.
o siódmej budzę się - i już czuję
więcej światła i ciepła.
świt nieubrany w mroku wibruje,
szybciej znika mgła lepka.
to oczywiście - wszystko! - po zimie.
I nie na rozkaz ojca,
luty się gładko w myślach rozpułnie,
a równocześnie - w sercach.
ranne delirium. i lód mikowy,
błysk blachy cynkowanej.
masowe groby żołnierzy wrogich.
czołgi w polach spalane.
resztki blitzkriegu wśród mgieł nizinnych,
z czarnoziemem splecione.
ocal krajobraz ten i upilnuj -
za to nieuniknione.
za hartowanie w ogniu ofiarnym,
i za zaciekły opór,
za święte modły tej wiosny czarnej,
duch święty, syn i ołów!

Tłumaczenie z ukraińskiego - Kalina Izabela Ziola

Obcy w zmieniającym się świecie

Po kilku latach przerwy znów sięgam po prozę Stefana Pastuszewskiego. Przedmiotem uwagi jego opowiadań były procesy przemian gospodarczych w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku. Tym razem tematyka związana z przełomem zmian politycznych u schyłku władz komunistycznych.

„Opowieści niezwykłego” są próbą przedstawienia końca epoki, której reżim przez niemal pięćdziesiąt powojennych lat obejmował połowę Europy. Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, początkowo pod wodzą Stalina, rozszerzał swoje wpływy na państwa ościenne, by pod pozorami chwytliwych sloganów utrzymywać ład w podległych krajach. Porządek wprowadzony przez Sowietów był oparty na dziełach Lenina, Marksa, Engelsa i miał za założenia poprawić byt klasy robotniczej. Socjalizm, chociaż dotyczył walki o lepszą egzystencję masy ludzi pracujących, wywodził się z opracowań wykształconych przedstawicieli klas posiadających, inteligencji burżuazyjnej i stąd dopiero trafił do proletariuszy oraz przyczynił się do walki klasowej.

Stefan Pastuszewski w swojej opowieści oddał nie tylko nastroje polityczne i społeczne we wspomnianym wcześniej okresie zmian gospodarczych, ale przede wszystkim – tragizm bohatera, a raczej reprezentanta pewnej grupy uwikłanej w proces powolnego wygaszania jej członków z aktywności zawodowej. W efekcie dochodziło do marginalizowania, a nawet wykluczania byłych agentów Służby Bezpieczeństwa z dotychczasowego czynnego życia zawodowego. Miękkie – czyli bez zastosowania siły fizycznej – represje dotyczyły wykluczania takich osób z możliwości pełnienia wszelkiego rodzaju służb mundurowych w strukturach państwowych, co było niemal równoznaczne z ich usunięciem z rzeczywistości, w której żyli przez wiele lat, nierzadko tracąc znajomych, przyjaciół, a nawet rodziny. I wszystko dla sprawy, w której dobro bezgranicznie wierzyli.

Kłamstwo i manipulacja, szukanie haków, odwracanie znaczenia słów, nękanie ludzi – tak, to były nasze działania. Początkowo myślałem, że prowadzą one do czegoś dobrego, do ochrony państwa. Potem już były tylko mechanicznym nawykiem, działaniem bez celu. I bez emocji.

Nie ulega wątpliwości, że czynności wykonywane przez agenta SB często miały się z prawem, były pełne przemocy fizycznej i psychicznej. Nie mogę się jednak powstrzymać od myśli o tym człowieku, jako mimowolnej ofierze systemu, w którego pułapkę wpadł przez swoją naiwność. W tym momencie przychodzi mi na myśl postać z opowiadania *Śmierć i busola* Borgesa. Detektyw Lönnrot, w toku prowadzonego śledztwa, został uwikłany w labirynt intrygi wpisanej w kształt trójkąta równoramiennego, którego dziedzicem i miejscem ostatecznego rozrachunku okazała się willa Triste-le-Roy. W swoich opowiadaniach Borges przedstawiał intrygi, problemy, tragizm, a nawet życie swoich bohaterów podporządkowanych prawom boskim i ludzkim, wikłając ich w zdarzenia,

które doprowadzały postaci do nieuchronnego końca. Jak inaczej może skończyć stróż prawa prowadzony wskazówkami zostawianymi przez przestępców, czy zdrajca przez swoją ofiarę, albo Żyd żyjący wśród hitlerowców?

Wracając do bohatera Stefana Pastuszewskiego, za każdą tragedią człowieka uwikłanego w politykę stoi taki oprawca, jakim go stworzył system. Określenie *niezwykłego* stanowi o tym, że człowiek przesiąknięty starymi nawykami, zwłaszcza negatywnymi, nie jest w stanie odnaleźć się w nowym systemie i przystosować lub raczej – podporządkować się nowemu łaadowi. Przeszłość mocno się zakorzeniła w człowieku, stanowi jego środowisko psychologiczne i trudno się z niego wyrwać mentalnie. Dobrze wyszkolony agent Służb Bezpieczeństwa, zniechęcony przez społeczeństwo, przez lata pracy nabrał pewnych nawyków, których trudno się wyzbyc. W nowych realiach zachodzących zmian ustrojowych agent stał się niepotrzebny, więc został odstawiony na boczny tor. Człowiek jednak nie zniknął, żył i aby przeżyć w czasie chaotycznych zmian polityczno – gospodarczych musiał trudnić się pracą, co nie było proste w przypadku byłego czekisty. Ludzie tworzą historię modyfikując przeszłość i próbując ją dopasować do teraźniejszości. Epoka stwarza warunki dla nowych mitów, które nadają pozorny sens istnieniu jednostki. Wysiłki człowieka niezwykłego przez Komisję Kwalifikacyjną Byłych Funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, by odnaleźć się w nowej rzeczywistości, okazują się daremne, niczym praca mitycznego Syzyfa. Nie ma straszniejszej kary od bezużytecznej pracy, przez którą człowiek przestaje być kowalem własnego losu. Aby tego uniknąć chwytają się wszelkich możliwych zajęć, by odnaleźć sens istnienia, poddać się tłumowi, popłynąć wraz z prądem i ocalić się, jak w słowach Steina, jednej z postaci „Lorda Jima” Conrada:

Człowiek, który się rodzi, wpada w marzenie, jak się wpada do morza. Jeśli usiłuje się wy dostać – a robią to niedoświadczeni – topi się, nicht wahr? Nie! Mówię panu! Jedyny sposób to poddać się niszczącemu żywiołowi i wysiłkami własnych rąk i nóg sprawić, że głębokie, głębokie morze utrzyma człowieka. Więc jeśli pan mnie zapyta: jak żyć? [...] Powiem panu! Na to jest także tylko jedna rada. [...] Zanurzyć się w niszczącym żywiole... [...] To jedyna właściwa droga.

Nonsensowna egzystencja człowieka o pustym wnętrzu duchowym, który przebywa wśród ludzi, ale mimo to czuje się samotny, znajduje się w stanie emocjonalnej i moralnej atrofii, co może doprowadzić do dezorganizacji ludzkiej osobowości i rozbitcia świata myśli, aż do poczucia nonsensu, a nawet – śmierci. Chaos zmieniającego się świata i wyobcowanie człowieka mocno zakorzonego w realiach odchodzącej rzeczywistości powodują poczucie wyobcowania i niesprawiedliwości. Według Alberta Camusa każdy ma prawo do godnego życia, więc naturalnym jest fakt, że człowiek buntuje się przeciwko wykluczeniu i niesprawiedliwości, która jest nieuchronna i wpisana w jego egzystencję. Stąd wniosek, że trzeba liczyć tylko na siebie i stawiać czoło przeciwnościom, bo bunt określa stosunek do praw rządzących światem i innych ludzi, z którymi wiąże się pewne poczucie wspólnoty.

Dzisiaj, po trzydziestu latach życia w innych strukturach społeczno – gospodarczo – politycznych i poczuciu względnej wolności obudziliśmy się w świecie u progu wojny, w której Ukraina

zmaga się z reżimem putinowskim, by zachować odrębność od władzy rosyjskiej i utrzymać integralność z państwami zjednoczonymi w Unii Europejskiej. Ta okrutna wojna ma na celu powstrzymanie zapędów imperialistycznych, powstałych w starzejącym się umyśle dyktatora, pragnącego wrócić mentalnie do utraconych lat młodości. Podobnie bohater „Opowieści niezwykłego” próbuje odnaleźć się w nowych realiach, marząc wciąż o lepszych latach przeszłych, do których chętnie by powrócił. I chociaż życie nauczyło go, że żyjąc odpowiedzialnie nie można nękać lub zabijać innych, bo wszyscy mają prawo do życia, to czy czekista kiedykolwiek przestanie być czekistą?

Jestem jak ta Partia. Po 1990 roku zmieniłem się, bardzo się zmieniłem. Dobrze, że w prowadzonym cywilizowanych państwach jest instytucja przedawnienia, oparta o psychologiczne prawo przemiany człowieka. Człowiek ma prawo nie tylko do przemiany, ale rzeczywistość się zmienia.

Cóż z tego, z powyższego, skoro czekista zawsze pozostanie czekistą. Przekleństwo Dzierżyńskiego.

- SB-ek to inny typ człowieka. Popatrzcie na Putina. To cynizm i brak zasad. Z tego się nie wychodzi – wyczytałem w jakimś czasopiśmie i poszedłem wypłakać się do Magdaleny.

Stefan Pastuszewski: „Opowieści niezwykłego”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2022.

Kinga Młynarska

Zbywalność rzeczy

Świat ze „Zbywalności rzeczy” jest bardzo surowy. Bohaterowie wierszy to ludzie mocno doświadczeni przez los, przez drugiego człowieka oraz przez siebie samych. Stałym elementem krajobrazu są tu bezdomni toczący *ulicą swój los / na wysokim wózku*, jest człowiek, który coraz wyraźniej widzi, że świat to wrogi terytorium, a życie jest prawdziwym wyzwaniem.

Podmiot przemierza ulice, schroniska, wysypiska, las. Jeździ to tu, to tam. Podgląda ludzi, wnika w ich historie. Ważnym doświadczeniem bohaterów „Zbywalności...” jest uświadomienie sobie różnych spraw. Przede wszystkim istoty życia, szczęścia, wolności. Najczęściej jest to olśnienie, które nastąpiło w wyniku jakiegoś traumatycznego zdarzenia. Olśnienie, które przyszło za późno, bo towarzyszy mu żal, że można było inaczej, że można było lepiej, że w ogóle można coś było. W takich sytuacjach czasem człowiek zwraca się do Boga – szuka, pyta, prosi, wątpi, prowokuje.

Poeta prezentuje właściwie tylko wycinki rzeczywistości. Utrwala konkretny moment, łączy kilka pojedynczych obrazów w jeden wiersz. Buduje liryczne sceny i umieszcza tam człowieka, który z czymś się zmaga. Obserwuje go, bada. Jednocześnie zerkna na jego otoczenie – świat nieustannie płynie swoim rytmem, nie zatrzymuje się przy żadnej tragedii na dłużej.

Janusz Urbaniak znakomicie pokazał, jak zmienia się ludzkie postrzeganie w rozmaitych okolicznościach. Jak dla niektórych szczęściem są dobra materialne, a dla innych – świadomość, że

codziennie zjedzą kromkę chleba. Ważne jest tu także spojrzenie na ludzi w ogóle – dla podmiotu wszyscy jesteście wielką rodziną. Być może wynika to z jego umiłowania człowieka lub wspólnych doświadczeń (swoista rodzina pokiereszowanych przez życie).

„Zbywalność rzeczy” mówi o utracie, pustce, beznadziei, samotności – w rozmaitych znaczeniach. Jednocześnie opowiada o tym, co w życiu bezcenne i najważniejsze. Bohaterów Urbaniaka obserwujemy najczęściej podczas refleksji o tym, co stracili oraz podsumowaniu tego, co im jeszcze pozostało. I w takim zestawieniu czymże są oszczędności, biżuteria itp. wobec miłości, bliskości, wiary? Czymże bibeloty wobec godności? Podmiot często boleje nad jakąś iluzorycznością życia i relacji interpersonalnych, zastanawia się ile prawdy jest w naszym istnieniu, w nas. Czy potrafimy być naprawdę, czy jesteśmy zdani wyłącznie na maski, frazesy, schematy? Dręczy go świadomość, że jest coś więcej niż to, co znamy.

Jest w wierszach Urbaniaka wielka siła rażenia – dystans podmiotu paradoksalnie pogłębia odczucia czytelnika. Nie ma tu sentymentalizmu, grania na emocjach, prośby o litość. Jest wyłącznie, niewyrażona wprost, potrzeba zrozumienia, a przede wszystkim – dostrzeżenia. Podmiot opowiada o jakimś *nim*, mówi w trzeciej osobie, ale być może to tylko próba oglądu siebie z pewnej odległości, oddalenie emocji i spojrzenia na własny los chłodnym okiem. Zna jednak osobiste szczegóły, odgaduje smaki, jakie czuje bohater wierszy, zna jego pragnienia, wie o co się modli i jakie targają nim wątpliwości.

Być może ów *on* to po prostu symbol człowieka w ogóle – tego, który zmaga się z różnymi przeciwnościami. Sposób wypowiedzi podkreśla również uniwersalny charakter zbioru Urbaniaka – każdy bowiem może podzielić (albo już podzielił) któreś z doświadczeń podmiotu. Bo przecież poeta wspomina m.in. powodzie odbierające dobytek, smutny los tułaczy czy choćby zatracenie się w alkoholu. Sytuacje, które dzieją się zawsze i wszędzie.

W „Zbywalności...” przeszłość nieustannie depcze po piętach teraźniejszości. Przyszłość nie jest tu istotna, bo ważne, aby uporządkować życie tu i teraz, docenić minione doświadczenia i wyciągnąć z nich wnioski. Podmiot wiele przeżył, dużo zrozumiał (przede wszystkim to, że nie jest w stanie wiele zrozumieć, a to cenna wiedza), ale dotarł do martwego punktu. Naprzemiennie upada i się podnosi, wątpi oraz łapie wszystkie chwile dające nadzieję.

Poeta chętnie buduje liryki z szeregu postępujących po sobie metafor – scen. To nie tylko wielokrotnia możliwości interpretacyjne, ale i tworzy niezwykły nastrój. Są tu też wiersze, w których Urbaniak oszczędnie korzysta z wachlarza tropów poetyckich. Gdzieniegdzie pojawia się aluzja, symbol, porównanie, gra słowem czy choćby przestawi się szyk. Trzeba jednak przyznać, że nawet pozbawiony wszelkich ozdóbek wiersz jest u Urbaniaka metaforą samą w sobie. W „Zbywalności...” to rekwiizyty dnia codziennego tworzą najbardziej wymowną ornamentykę.

Tekst jest posłowiem do książki Janusza Urbaniaka „Zbywalność rzeczy”, Wydawnictwo Font, 2022.

Rudy Alfonso Gomez Rivas**Morze i ciemność zegarów**

Mewy wędrują po plaży
w poszukiwaniu dziecięcego światła piasku.

Piasek przechowuje w pamięci syreni śpiew.

Syreny, szalone panny młode,
podróżują w postaci skrzydlatych ryb
po innych morzach.

Morza utrzymują światło, pieśni, pamięć
z którymi codziennie pragnę wracać w ciemność zegarów.

**Nieuchwytny ślad dymu,
który nas widzi**

Są w oczach
oazy dalii i poczwerek.

Są w sercu niekończące się rzeki
będące repliką dantejskich labiryntów.

Są w rękach odczucia sytości
korzeni,
krabów,
raf dymnych.

Są w ruchu nieuchwytny ślad
noży i odbić.

Są w palcach morza ciężary stuleci.

Są w morzu lustra fal
niszczące pieśń bogów.

Tłumaczenie – Kalina Izabela Ziola

Rudy Alfonso Gomez Rivas (*Aguacatan, Gwatemala*). *Pedagog, poeta, redaktor, menedżer kultury. Tłumaczony na kilkanaście języków. Laureat wielu nagród literackich, m.in. Nagrody Literackiej im. Klemensa Janickiego IANICIUS 2022. Dyrektor Międzynarodowego Festiwalu Poezji FIPA.*

Aleksandra Jabłońska**Relaks**

Cisza
wsluchuję się w ciszę
wiatr opadł z sił
gałęzie spokojnie trzymają się konarów
promienie słońca pieszczą czubki drzew
pies bezgłośnie się przeciąga
długopis bezszelestnie wysunął się z dłoni

Anna Landzwójczak**zdarzenia**

nasycone barwami
wyblakły
nawet te w pasowej czerwieni
mają dziś kolor maku
i trwałość makową

rozsypały się z główki-makówki
rozpierzchnęły

Barbara Gryglewicz**W podróży**

Dzielna, wytrwała, w pełnym słońcu
Nie prosi o deszcz
Przypatruje się przejeżdżającym
samochodom

Liczy pary nóg drepcących obok.
Cały czas błękitna
Nie ustaje w trudzie obserwacji świata
Towarzyszka przechodniów, wędrowców,
pielgrzymów
Na starcie i na mecie
Cykoria- podróżniczka, w parze
z krwawnikiem
Nie rozpacza, że nie jest różą.

Stefania Pruszyńska**Na rozstajach**

Na rozstajach przestrzeni
pod dachem nicy bezokiej
toczą się wolno cienie pamięci
tabory zmęczone
koślawymi kołami

echo rżenia koni zastygło
w kamienie dróg dalekich

brzeg dobrego czasu
zdał nadzieję z powiek
spopieliał żdźbła
i teraz tylko cisza
Ignie do żrenic
jak syte źrebię

cienie pamięci toczą
tabory umarłych dni
myśl jednak nie zastyga
łuną się ugina i wspina
z cierni układa ptaki

hej obudźcie się skrzypce
zadrzyjcie tysiącem słońc
tańczcie moc śpiewajcie łąki

Stefania Pruszyńska

Powroty do wspomnień Wincenty Różański

Niewiele można się było dowiedzieć od pielęgniarek, a lekarz otwierał drzwi tylko dla deklarujących, że są krewnymi czy opiekunami. Witek do poznańskiego Szpitala Wojskowego trafił po nagłym i ostrym zachorowaniu z objawami udaru mózgu czy wylewu. Przychodziłam tam początkowo z Januszem Purzyckim, skrzypkiem, koncertmistrzem Filharmonii Poznańskiej, związanym z Akademią Muzyczną, nauczycielem gry na skrzypcach w szkole muzycznej na ul. Solne i niezależnym poetą. A w wolnym czasie – stałym uczestnikiem dyskusji w naszym wybranym gronie co poniedziałek w godzinach południowych w restauracji w centrum Poznania. Od dawna był znajomym męża Tadeusza, a później także moim. Janusz Purzycki bywał często u Witka na Ostrobramskiej. Zachodził tam także, jak mówił, „by zwyczajnie posiedzieć razem w milczeniu przy herbacie”.

Po wejściu do sali, w której leżał Witek, trudno się było oprzeć się wrażeniu, że tam, w szpitalnych murach jego świadomość błąka się na jakimś nieznanym i odległym brzegu. Najpewniej, choć nie od razu, z tamtego dalekiego skraju wyrwała go dopiero obecność pamiętających o nim, teraz złożonym chorobą. Któregoś dnia podczas szpitalnych nawiedzin Purzycki otworzył futerał ze skrzypcami i z bliska wskazując Witkowi jego zawartość, objaśniał z uśmiechem: „To skrzypce, widzisz? A to smyczek, a tu struny”... Witek pytał oczami, bezsilnie próbując wyrazić głosem swoje intencje. Artykulacja słów zawodziła, więc gestykułował żywiołowo i stał do nas całą gamą niesfornych dźwięków. Jednak wodził oczami za wskazywanymi elementami skrzypiec. W końcu uśmiechał się coraz bardziej. Wyraźnie się wreszcie cieszył. Jak mały chłopiec. A gdy Janusz zagrał na skrzypcach tam, w szpitalnej sali, aż błyskami i ciepłem śmiały się oczy Witka. Aura, którą tworzyła z naszą współobecnością ta mistrzowsko kołująca i tkliwie wibrująca muzyka – była darem tajemnej omnipotencji. Darem, który z mroku wytaczał słońce... Moc i barwy skrzypcowego wołania – od i do życia nie respektowały żadnych barier, przenikały w przestrzenie. Zadziwiała i zachwycały. Koncertowanie Janusza w szpitalu, intencjonalnie przyjacielskie i muzykoterapeutyczne, śmiało przekraczało przyjęty w szpitalu tryb. Niepojęcie grało do wtóru niewyraźalnemu. Wpisało się głęboko w moją pamięć.

Po powrocie do domu intensywnie pracowałam nad kilkoma szkicami wierszy i gorączkowo notowałam wiele refleksji. Nikomu nie mogła być obojętna sytuacja Witka Różańskiego, a ja miałam już lepsze rozeznanie o bieżącym jego stanie. Potrzebował zarówno terapii związanej z nagłym kryzysem (najprawdopodobniej udarem) i jednocześnie kontynuowania podstawowej terapii na schizofrenię, z którą od dawna się siłował. Napomykała o zbieżności tych dwóch terapii i o wyczekiwaniu na dostarczenie właśnie specjalistycznego lekarstwa, którego w szpitalu nie mogli od razu zapewnić, jedna z młodych pielęgniarek. Była nieco bardziej skora do rozmowy niż inni. Niepokoiła się w tej opresyjnej sytuacji o stan swego pacjenta

i wywiązanie się wobec niego ze swoich powinności. A ja wierzyłam czy raczej byłam

PROTOKÓŁ
kulturalny

Nr 84/2023

bliska pewnością, że Witek pokona dysfunkcje, które odczuwa. Lecz czy będzie mówić? Często mijaliśmy się na korytarzu szpitalnym z Małgorzatą Kasztelan, żoną Witka, która była muzykiem: flecistką, pianistką i pedagogiem – ja wychodziłam po krótkich odwiedzinach, a ona zmierzała do sali. Nieraz chwilę rozmawialiśmy, a dłużej, gdy tematem stała się planowana msza w kościele Dominikanów w intencji ozdrowienia Witka. Dopiero kilka lat temu dowiedziałam się, że do Witka również przychodził Krzysztof Wiśniewski, który miał wspólne z nim wątki poetyckie – zaowocowały one tomem „Posrebrzane pola słów” (wydanym najpierw w niskim nakładzie w 2001 r.). Do tej pory Wiśniewski podtrzymuje fascynację legendą wielkiego przyjaciela Witka – Edwarda Stachury, prowadząc witrynę internetową Stachuriada.pl, inicjując akcje wyjazdowe z biesiadami po tropach Stachurowych wędrówek i propagując festiwal jego imienia.

Wspominając pobyt Witka w Szpitalu Wojskowym, Wiśniewski przyznał, że także był zdziwiony, gdy zauważył podczas pierwszych odwiedzin brak choćby najzwyklejszych kapci przy jego łóżku. Trudno było wyjaśnić cokolwiek bezpośrednio z Witkiem, który stracił zdolność mowy i niewiadomą było, jak postrzega rzeczywistość. Chyba te kapcie gdzieś się zawieruszyły albo nie przewidywano jeszcze, że mogą być potrzebne? A mimo że optymizmem napawało stopniowe ożywianie się Witka, jednak przykro było patrzeć podczas kolejnych odwiedzin, gdy nagle wstał i o własnych siłach, lecz boszo szedł do łazienki. Nic też dziwnego, że już wkrótce pod łóżkiem dyskretnie czekała na Witkowe stopy para nowych, wygodnych pantofli. W trakcie którychś odwiedzin, gdy już coraz wyraźniejsze były oznaki poprawy jego stanu zdrowia i samopoczucia, w pewnym momencie zaczął się czegoś domagać machaniem ręki naśladowującym pisanie. Ucieszył się, że został od razu zrozumiany, bowiem szybko znalazły się wydarte z notesu kartki i długopis. Zapisywał je natychmiast i z entuzjazmem, raz po raz zerkając to na mnie, to na Janusza. Wzruszała mnie ta spontaniczna żarliwość. Wprawdzie pisał niewyraźnie, lecz zachowywał nawet małe odstępstwa i trzymał się linii. To dobry znak – panował nad koordynacją wzrokowo-ruchową i pragnął coś przekazać. Obdarowując mnie tymi zapisanymi kartkami, podniósł się raptem na łóżku i zaborczo przygarniając, obejmował... by po chwili szelmowskim uśmiechem skwitować wyzwoloną serdeczność, karesy i zapisaną na kartce treść. Był już z powrotem na brzegu życia.



Czy Elżbieta T. i Jerzy G. należą do najlepszych poetów? Andrzej S. i Marek S. klasykami?

W stulecie poznańskiego oddziału ZLP (szczyłającego się prezesurą Władysława St. Reymonta), ukazały się pozycje sumujące przede wszystkim dorobek środowiska w ostatnich latach. A są to „Dzienniki literackie” Jerzego Beniamina Zimnego (2020), „Generacje”, zredagowane przez Annę Andrych i Marię M. Pocgaj (2022) oraz „W Nurcie odNowy” Jerzego Beniamina Zimnego (2022). Wspomnijmy jeszcze wydane w roku 2020 „Życioryty”, zbiór wierszy poświęcony twórcom zmarłym poznańskiego środowiska. Także publikacje nawiązujące do historii poznańskiego ZLP, w kolejnych numerach kwartalnika „ReWiry”. Książkę „W Nurcie odNowy” (szkice, komentarze, wspomnienia 1970-2020) składają rozdziały: „Początek końca”; „Na emigracji wewnętrznej”; „Koniec wieku”; „Arka Jerzego”; „Koniec dekady odnowy”; „Początek złotej dekady”; „Radości i smutki w złotej dekadzie”.

„W Nurcie odNowy” Jerzego Beniamina Zimnego to książka sumująca, w sposób bardzo osobisty, subiektywny dorobek środowiska literackiego, także i summa vitae autorska (1970-2020). Dorobek półwiecza człowieka i pisarza. „W dniu moich 75 urodzin...” czytamy testamentarne zdanie w akapicie kończącym tekst na stronie 217. „Czas zacierza ślady, wspomnienia przeniesione na papier mają szansę przetrwać. Ludzie, którzy odeszli zasługują na pamięć, takie motto mi przyświecało, kiedy postanowiłem napisać tę książkę. Najbardziej właściwym gatunkiem literackim, okazała się dla mnie sylwa. Kończę pisanie tego dzieła w dniu moich siedemdziesiątych piątych urodzin. Z czego pół wieku przypadło na moje kontakty w środowisku poznańskich literatów. Rzecz jasna miały miejsce moje przenikania do innych środowisk, od Bałtyku po Bieszczady” - pisze Jerzy Beniamin Zimny.

Omawianą pozycję poprzedziły „Dzieci Norwida” (2016), opracowanie zawierające również teksty usprawiedliwione mianem pisarskiego raptularza. A w nim sylwetki twórców, recenzje, anegdody, fragmenty prozy... W „W Nurcie odNowy” jednakże panorama szersza tak pod względem chronologicznym, jak i tym, który dotyczy „przestrzeni literackiej”, jej historycznej perspektywy. Tytuł „W Nurcie odNowy” zdaje się sugerować dzieje środowiska artystycznego, skupionego wokół poznańskiego, studenckiego klubu „Od nowa”, działającego w latach 1958-1970. Tu po odwilży, pierwsze koncerty jazzowe, happeningi, awangardowa sztuka, młodzi poeci... Inny trop w tytule, to „Nurt”, studencki Klub, z którym autor był związany. Jednakże Jerzy Beniamin Zimny przesuwając znaczenie tytułu, w jego interpretacji chodzi o przemiany społeczno-polityczne, tamtego czasu, w naszym kraju.

Będąc po części tematem, przedmiotem omówień tej książki (vide między innymi rozdział pt. „Arka Jerzego”), podejmuję próbę „opisu” tego

tekstu z pewnym, stronnicyzycznym ryzykiem, bo karty zawierają liczne relacje z działań animatorskich, edytorskich podejmowanych przez niżej podpisanego, przez okres ponad półwiecza w poznańskim Pałacu Kultury, Centrum Kultury Zamek i Piątkowskim Centrum Kultury PSM. I jeszcze bieżące prace naszego Klubu Literackiego – imprezy i wydawany kwartalnik – „Protokół Kulturalny”... Wprawdzie autor w zakończeniu swej książki pisze o swym obiektywnym spojrzeniu na relacjonowaną rzeczywistość, jednakże w miarę czytania staje się oczywiste, że „W Nurcie odNowy” jest książką bardzo osobistą, ba! Splątane tu w jedno sprawy prywatne, intymne z problematyką społeczną, polityczną. Obok analiz sytuacji słowa – wiersza, znajdziemy diagnozy ekonomiczne, perspektywy, wyliczenia szans podmiotów rynkowych, firm. W swych wojażach bohater książki i zarazem jej autor, łączy życie prywatne z tętnem wydarzeń krajowych, z pamięcią o swej przeszłości, przypomina czytelnikowi, że nie samym słowem... A więc w drodze – wizyta u kolegi prawnika (żona ma butik z odzieżą damską), Kargowa, wizyta u kuzynki, cmentarz w Grodzisku Wielkopolskim (bo tu leży matka chrzestna). Przy okazji dygresja. „Na tym to ja się znam, w karierze kamieniarskiej wykonałem ponad siedemset napisów nagrobnych, trzy tablice pamiątkowe, jedna jest wmurowana w okolenie na Wzgórzu Św. Wojciecha, druga na terenie Zamku Rydzyskiego, trzecia powędrowała aż na Podkarpacie”.

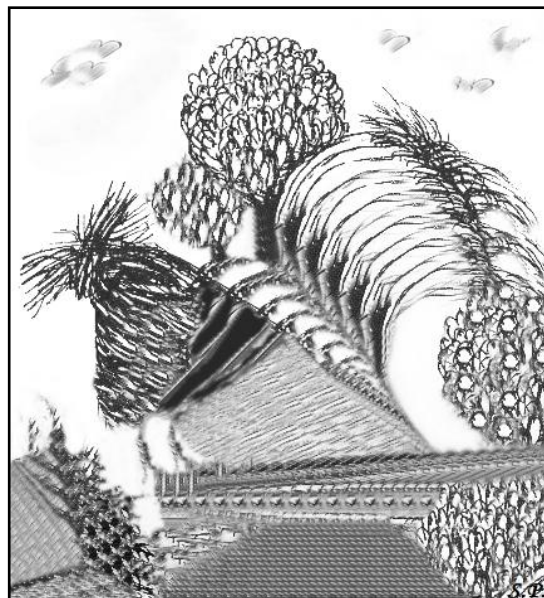
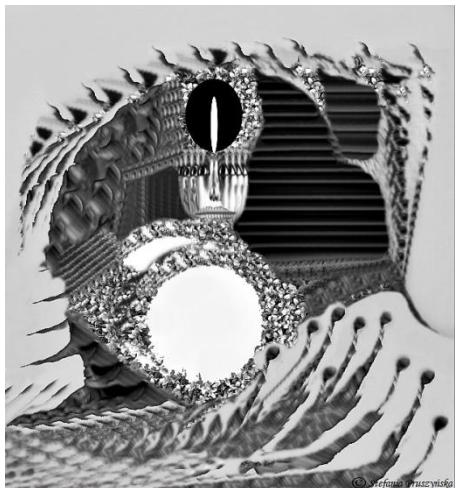
To jednak przysłowiowe odpryski, bo Jerzy Beniamin Zimny to nie tylko sentymentalny podróżnik, poeta, prozaik i krytyk... Środowisko zawodnicze mu liczne publikacje, działania organizacyjne (wiceprezes poznańskiego oddziału ZLP). Czytamy więc zapisane dla potomnych relacje z poszczególnych Międzynarodowych Listopadów Poetyckich, zjazdy literatów, seminaria, turnieje, autorskie objazdy, wizyty, kontakty, wydarzenia towarzyskie... Jest Jerzy Beniamin Zimny jak król Midas, wszystko jest godne zapisania, zapamiętania. Nic nie można uronić, bo czyż nie jesteśmy tu tylko na chwilę? Fakty, ludzie podani często „na surowo”, bez preparowania. Nie oszczędza pisarz i siebie. Obok licznych notatek o swych przewagach, sukcesach, nagrodach – znajdziemy w książce chwile słabości, zwątpienia. Te zdania czynią autora bardziej wiarygodnym, ludzkim.

Ze strony niżej podpisanego należą się podziękowania za rozdział „Arka Jerzego”, za szczegółową historię naszego Klubu Literackiego w latach 1970-2020, za recenzję poszczególnych numerów naszego kwartalnika literackiego pt. „Protokół Kulturalny”, który wychodzi już 25 rok. Czytam „W Nurcie odNowy” i w oczach stają mi pierwsze, założycielskie imprezy Klubu Literackiego w Zamku w roku 1970 ze Stanisławem Barańczakiem, Ryszardem Krynickim, Edwardem Balcerzanem, Edwardem Stachurą, Ryszardem Milczewskim-Bruno. Wśród publiczności Andrzej Babiński, Jerzy Szatkowski, Jerzy Satanowski, Wittek Różański, Marek Obarski... Tak „Któż to opowie, któż uciszy...”. Pasja niosąca gorące pióro autora, ob-szar, rozległy czas obejmujący dziesięciolecia – powodują nieścisłości i zdania sporne, ale to przecież opowieść, nie – praca historyka literatury. Autor „W Nurcie odNowy” bywa surowy (ba!) brutalny i niesprawiedliwy w swych osądach, ale ma też i odruchy dobrego serca. Ku swemu zaskoczeniu (czy mam zaprotestować?) czytam na str. 163, że Jerzy Grupiński i Elżbieta Tylanda „należą do

najlepszych współczesnych poetów”, na dalszych stronach, że klasykami współczesnej poezji są Andrzej Sikorski i Marek Słomiak. Ewoluuja poglądy autora na publikacje Karola Samsela, od zdań krytycznych w „Dziennikach literackich”, po afektowane, podniosłe zdania wysoko wynoszące literaturę tego autora...

Zaskakują w „W Nurcie odNowy” zmiany toku narracji, języka. Na stronie 68 czytamy ryzykowny zapis (puszczone wyobraźni wodze), jakby w utworach dadaistów. Czytelnik gotów zaprotestować, zaskoczony, wytracony z logiki tekstu. Jednak fragment ryzykancki ten ujawnia niezwykłą wyobraźnię autora. „Pies poezji ukryty w zaroślach, tam zawsze ktoś czegoś szuka, znajduje resztki doskonałości, jakiejś boskiej rośliny. Pies jak ogrodnik podlewający krzaczki, po każdej ziemi skopujący ogródek. Nawóz ludzki czy powóz pieski, a może wóz niebieski, mały albo wielki, którym jedzie Archanioł Drogą Mleczną. Pies wyjący do srebrnej tarczy – kiedy budzą się demony, wtedy poeta chwyta za pióro, pragnie ostrzec ludzkość przed kolejną apokalipsą”. Ujmuje czytelnika życzliwie zainteresowanie najmłodszymi piórami. Jerzy Beniamin Zimny, jak rzadko który z pisarzy jego pokolenia przejawia znaczną wiedzę, orientację w najmłodszych nazwiskach oraz świeżych trendach występujących u młodych piór. „W Nurcie odNowy” Jerzy Beniamin Zimny zajął się generacją dotąd nieopisaną przez krytyków. Oprócz kronikarskich zapisków z działań poznańskiego ZLP, obok swych bardzo prywatnych losów, ujął panoramę pisarskich roczników, które z daty urodzin można by przypisać do Orientacji Hybrydy. Opóźnione debiuty, więc dalsza twórczość tego pokolenia, przyjęła już nowe formy wypowiedzi, elementy języka lingwistów, nowofalowe mówienie „wprost” aż po kontakt (w ostatnim okresie twórczości) z teoriami strukturalistów. Oczywiście, niezwykle, osobne drogi Andrzeja Babińskiego i Wincentego Różańskiego. Ryszard Milczewski-Bruno i Jerzy Szatkowski w swej lingwistyce... Wierni własnej wizji Andrzej Sikorski i Paweł Kuszczynski. Marek Słomiak w swym urzeczaniu słowem, wewnętrznym pejzażem. I jeszcze poetyckie, zaskakujące ścieżki Marka Obarskiego, Jana K. Adamkiewicza i Andrzeja Ogrodowczyka... Jak zapamiętać, jak ogarnąć? Tyle imion tyle słów...

Jerzy Beniamin Zimny, „W Nurcie odNowy”, Biblioteka „Rewirów” poznańskiego oddziału ZLP, Poznań 2022.



Rafał Jaworski

Ojczyzna

Przechadzałaś się w moim wnętrzu
jako wielki zbiorowy obowiązek
Orędowniczko szczęku przeszłego oręża
Pośredniczko bólu i dumy

A jednak dudni we mnie moc obcych kroków
Jestem tchórzem i bohaterem zarazem
Przechadza się we mnie
sługa boży i sługa tolerancji
Przegląda się w lustrze sumienia
literat i poeta
Obywatel i banita

Zwracałem Tobie moje
słowa serca i zwroty zatwardziałości
metafory pamięci i troski
pełne nadziei
na nadziei czystość

Teraz jestem sam na sam
ze swą samotnością
Nie bądź nam ucieczką
do Wszystkich Świętych Manipulacji
w litanie syte prośbą
wetknij strofy dziękczynienia
Nie bądź immunetą od niewygód praw
o Tobie i przede wszystkim
o mnie

Tadeusz Zawadowski

ptaki spadające w niebo

ptaki moje przedszkole zaniósł do nieba.
ludzie
widzieli jak unosili je na skrzydłach. małe
dzieci
podobne aniołom wzbijały się w chmury
jak latawce. matki kamieniały
i rozsypywały się w popiół
który unosił się w górę i oblepiał
skrzydła ptaków gdy te spadały
w niebo.

Zygmunt Dekiert

Imaginacje wiosną objawione

Biegnę za wiosną
ulic szarzyzną
alejami parków
Zastygam golizną pni platanów
bezwstydnie majestatyczną...

Zjawiasz się naga

W aureoli dziewiczej zieleni
słodkością grzechu brzemienna
stajesz dojrzewaniem owocu jabłoni

- - Dotrzeć pragnieniem do lata

Sławomira Sobkowska-
Marczyńska

Wspomnienie

pod starą sosną
wylegają się wspomnienia
w mchu zachowane
ogrzone słońcem
tym samym
co wtedy

gdy
leżąc na igliwiu
przez konary drzew szukało się nieba
a potem
na poziomej polanie
próbowało się pierwszy raz
jego ust
o smaku beztroski

wspomnienie zamknięte w łezce żywicy

Celina Lesiewicz

Kaczor

Koło mojego wózka
Była łąka
W kwiatkach kąpały się kobiety
Nie mogłem ich dotknąć
Ty, Panie, ukamienowałaś moje ręce
Koło mojego wózka
Było jezioro
Na brzegu ornamenty
Martwych ryb
Są bardziej ruchome
Od moich kończyn
Koło mojego wózka
Były słowa
Cisza traciła siły w zmęczeniu
Nie mogłem ich ogarnąć
Ty, Panie, wypaliłeś octem mój język

Ewa Moskalik

Tabula rasa

Stracić pamięć –
nie móc zajrzeć
w głąb siebie
nie być ze sobą tam
gdzie się wszystko zaczęło

jeszcze za życia
być tylko w cudzej pamięci
w tysiącu odsłonach –
za każdym razem
kimś innym

wierzyć na słowo
w miłość
której się nie pamięta

Małgorzata Łyssowska-Szczęsna

O co...

Nie o sens w życiu chodzi
Panie dobrodziej
łapiesz trzymasz myślisz masz
i nagle wymykają się jak ryba oślizgła
sensy bezsensy
na gorącym uczynku złapane
znaczenia nadane
w bezsensie sens znaleźć... jak
w bigosie składników poszczególnych smak
i... pokrojone warzywo sens traci
bezsens sensu tworzywo
w życiu nie o sens chodzi
Panie dobrodziej

Maria Ciążela

kropla deszczu na dłoni

nie ma już dziewczynki
w granatowym fartuszku
z kluczem na szyi
biegnącej w czerwień cegieł szkoły

rynkowy zegar
wciąż na straży
odmierza wspomnienia
unoszą się jak topoli puch
ponad strzelistość
kolegiackiej wieży

nasączona czasem
drogocennym balsamem
trwam pośród chaosu

Stanisław Romaniuk

Koń dorożkarski

uśmiech szczerości
na pograniczu filozoficznej zadumy
ujętej w skórzane okulary

opuszką podkowy
sprawdza szorstkość palców kowala
i płacze kiedy ogonem
zabije komara

wlecze czarny charakter lamp
ulicznych
dziewcząt przyjaciół
i bata

Edyta Kulczak

* * *

żeby żyć bezpiecznie trzeba się okopać
usytuować bliżej środka nie tak blisko by
poparzyć stopy ale dość by czuć się stabilnie
wtedy nawet małe trzęsienie czy huragan
nie zaszkodzi

inna rzecz z budowaniem w górę
za to biorą się zwykle odważni
znamy ich z historii przyszpilono ich do
naszego

poznania jak zasuszone motyle
albo wyjedzone przez czas muchy
na wyleniającej pajęczynie
tylko nadzy szaleńcy im zazdrozczą

Krystyna Mikołajewska

* * *

Dzień wstał deszczem
mokra pióra aniołów
zwisają smętnie
ludzie snują się po brudnej ziemi
z lusterek kałuż wyglądają blade twarze
szczelna mgły kopuła
wilgocią szarych kropel
nie daje oddychać
łapiąc powietrze jak ryby
zасыpiją kolorowe
miráže



O kruchości istnienia

– co poezja potrafi

W najnowszym tomiku poetyckim Teresy Tomsz „Liryki przedostatnie” jest coś z aury nabożeństwa. Czytelnik zasiada w „przedostatnim” rzędzie i wsluchuje się w opowieści o utracie. Kolejne strofy oprowadzają po bliskich jej miejscach, przywołują zaprzyjaźnione osoby, mówią o tym, co obecne, co przeszłe, co przewidywane. Radość obcowania z drugim człowiekiem przeplata się tu, podobnie jak w modlitwie, ze smutkiem, tęsknotą i stratą. To prawda: boli istnienie, ale jeszcze bardziej doskwiera jego brak. W najnowszym zbiorze wierszy jesteśmy zatem świadkami kontredansu życia i śmierci.

Pamięć „ja” o minionym czasie, ludziach i zdarzeniach zawłaszcza mentalne przestrzenie, reorganizując po swojemu przypadkowy spłot najważniejszych reminiscencji. Czasem wystarczy migawka wspomnienia – burgundowy szal z frędzlami podarowany poetce Julii Hartwig; innym razem są to obserwowane przez uchylone okno chłodne strugi deszczu, by znieruchomiec na chwilę, dać się ponieść wspomnieniu o przyjacielu Lechu M. Jakóbie, który ćwiczył się do życia, a pozostawił po sobie, o ironio, wiersze „Ćwiczenia z nieobecności”. Czy też wtedy, gdy zniemacka wydobywa się na wierzch myśl przywołana z dzieciństwa, gdy pomogło się ubogiej kobiecie pociągnąć przez chwilę jej brzemię – dyszel ciężkiego wozu wypełnionego po brzeży wędzącymi w słońcu warzywami, których nikt już nie kupi (*I nagle to miejsce*).

Można zauważyć, że owe reminiscencje raczej nie są łagodne, rzadko kiedy nadaje im poetka rys nostalgiczny (jak we wspomnieniu o kresowych krewnych *Nie martw się, duszko*). Najczęściej dręczą, przygnębiają, budzą atawistyczny lęk przed nieuniknionym. Czy w takim razie liryka, a zatem krótka, esencjonalna próba ujarznienia myśli o utracie, pozwoli się od nich uwolnić po ich wybrzmieniu?

Autorka *W cieniu przelotnego trwania* (2021) świetnie zdaje sobie sprawę z ważkości słów, z ich wielowiekowego, nabrzmiałego znaczeniami istnienia w ludzkim krwiobiegu, ale zarazem i z ich ułomności – niewyraźności – jak w wierszu *Poetycki poranek*:

(...)
*Czy słowa są wierniejsze od zwierząt i ludzi –
wypowiedziane nigdy nie zaginą, krążą
w cytatach, w myślach, błędzą na papierze,
a jednak, chociaż powtarzane – tak niewiele
o tym, co jest niedostępne, mówią.*

Zawodzą słowa, bo zawodzą uczucia – miłości, przyjaźni, dobroci... Zawodzi sygnał telefonu i kartka z podróży. Pozostaje ciepłe wspomnienie minionego czasu niczym wywołane w ciemni zdjęcie. Refleks światła. Odbijają się w nim sprawy, o które tępią się najmądrzejsze słowa, ale do których wierna pamięć uporczywie powraca niczym w wirze tornada. Rotują w nim wspomnienia dotyczące najbliższej rodziny, z których najboleśniejsza jest ta o matce Zofii, Sybiraczce żegnającej się ze światem po trudach życia. Dalej przysiadają przy nas *tchnienia dawnych spotkań* przyjaciół poetów,

których już nie ma: Macieja Niemca, Jerzego Ł. Kaczmarka, czy pedagoga Grzegorza Liczbańskiego.

W dramacie (nie)istnienia rozpisana na strofy zostaje również wojna toczona przez Rosję na ukraińskiej ziemi, jak choćby w wierszu „Nie chcą uwierzyć”: *„Wkracza do miasta Bucza demon w rosyjskim / mundurze – pali domy, strzela do dzieci, / szpitale z ziemią zrównuje”*. Lecz i w obliczu potwornej zbrodni, jaka dzieje się na naszych oczach, poetka nie traci nadziei, gdy woła w publicznej przestrzeni: *Odnajdę ciebie wszędzie / dziewczynko z Ukrainy / z wypisanym ręką matki / imieniem na plecach („Po imieniu zawołam”)*. Od nihilizmu ocala wiara w dobro i potęgę Transcendencji. To, co nas spotyka, nie dzieje się przypadkiem, ma swój nierozpoznany przez nasze oko sens. W chaosie rodzą się gwiazdy, z tornada natrętnych wspomnień powołane do życia zostają niezwykle osobiste, substancjalne wiersze, których ciężar odczuwamy jeszcze długo po wybrzmieniu ostatniego wersu. Bo (...) *Ktoś tu jeszcze żyje, uprawia glebę („Przylgnąć”)*.

Przepiękna okładka stanowiąca panoramę Paryża autorstwa Mony Tomassi to swoiste prelude do niektórych liryków przywołujących wspomnienia kulturalnej stolicy świata i ludzi, z którymi poetka była zaprzyjaźniona. Na czwartej stronie okładki ujrzymy z kolei artystyczne zdjęcie autorki „Liryków przedostatnich” wykonane przez Marka Wittbrota. Można doszukać się w nim metafory domykającej wieko zawartych w niniejszym tomiku utworów o przemijaniu. Zamyślona, lekko uśmiechnięta młoda kobieta z przechyloną głową, wydaje się zapatrzona w mijającą chwilę. To z pewnością dobra myśl, świeża, nie skażona jeszcze czasem i goryczą rozstań. Za bohaterką zdjęcia widzimy dwie rzeźby. Zastygłe, skończone dzieła. Zimne i kruche – jednak trwa pamięć wykuta artystyczną ręką rzeźbiarza Michała Milbergera i poruszają wersy Macieja Niemca, poety, który w Paryżu stał się już legendą. Poznańska poetka pisze o nim z podziwem i zrozumieniem jego trudnych życiowych wyborów „na paryskim bruku”, a zamieszczone cytaty, motta podkreślają piękno jego strof (M. Niemiec: *„Chcesz istnieć? / – Nie odpowie na to wiersz (...) każde następne słowo / przynosi ratunek i każde / przynosi ból, brak / puenty, brak opatrunku”*).

W liryku Teresy Tomsz odnajdujemy to, co poezja potrafi – połączyć odległe światy, ożywić, co odeszło: *I zdążałam ku światłu, aby nas ujrzalo, / poczuło tętno, przywołało życie, gdy w chłodzie / ciemni rozmawiamy nieraz cichymi strofami, / próbując ocalić w jednym niemych zdaniu / piękno nieuchwytnie – dojrzeć w nim coś / rzeczywistego, co nie jest jedynie / śladem opłatka śniegu w locie / rozartym na szybie” („Co odeszło”)*.

Irmina Kosmala (1976) ur. w Gnieźnie. Poetka, recenzentka, animatorka kultury, polonistka i mgr filozofii. Współtwórczyni i prowadząca dwóch festiwali literackich: *gnieźnieńskiej Nocy Poetów*: „Słowo-tok” oraz „Pretekstów”, współautorka miejskich dyktand ortograficznych „O złotą stalówkę”, inicjatorka comiesięcznych spotkań literackich, redaktorka naczelną *Kuźni Literackiej*: www.kuznia.art.pl. Teresy Tomsz „Liryki przedostatnie”, Flos Carmeli, Poznań 2022.

Dominik Górny

Dobrze jest z wami tańczyć – Zumbowiersze

Tak, przyjmuję zaproszenie do tańca. Przecież tak pięknie tańczysz – żyjesz. Przyjmuję zaproszenie do życia jako oddechu, trwania jako chwili. Jeśli wieczność istnieje, to właśnie w tym momencie. Jeśli ten moment istnieje, to przez wzgląd na wieczność. Wdech – wydech... Wchodzę na parkiet... Tańczę czyli piszę wiersze. Piszę czyli tańczę. Ale nie walca i tango. Są zbyt klasyczne a nawet – przyznaję się do tego – melancholijne. Wybieram zumbę. Jej spódnica nie jest za krótka – uśmiecha się do nas autorka tego zbioru wierszy. Agnieszka Mąkinia – bo o niej mowa, to obecnie chyba najbardziej roztańczona poetka Poznania i Wielkopolski. Wiosennie i zimowo. Dosłownie i metaforycznie.

Trzymają Państwo w rękach wydawnictwo, które na pierwszy rzut oka jest tomikiem poezji. Określiłbym je czymś więcej – sekretnym przewodnikiem po gestach i oddechach, których współgranie ujawnia sedno mistrzowskiego tańca i czynienia z niego drogowskazu dla pragnień pulsujących także poza parkietem. Tak też oddycha i porusza się w tekstowych tropach Agnieszka Mąkinia. Taniec jest partnerem, któremu ufa, przed którym obnaża duszę a niekiedy i ramiona. Czytelnik widzi ten rumieniec i czerpie radość z uczestnictwa w tych kursach z choreografii „zumbowierszy”. Jest ich trzydzieści cztery. Biegają w naszą stronę na boso. Innym razem na obcasach. Parafrazując ich tytuły – wywołują „stan podgorączkowy” nie tylko w „cudzie młodości”. „De-koncentracji” wypada nieraz stać się „prawie jak Shakira”, bo czy to „w salonie” czy „zaokiennem” zmierzamy „ku olimpiadzie”. Nie wszystkie „jabłka z maratonu” wypadają zjeść, bo nawet nie każde udało nam się zerwać z drzewa w raj. O sile odczuć świadczy delectacja.

„Na podium” codzienność zwycięża „różowiałym buntem”. W istocie, nie różowym a „różowiałym”. To jedna z cech utworów Agnieszki Mąkini. Słowotwórstwo jest tutaj uzasadnione jak zadziwienie, które otwiera usta i pocałunek bardziej czerwony od koloru szminki. Dodałbym – jest ono „emocjotwórstwem” budzącym różne skojarzenia, a uaktywniane głównie poprzez odwołanie się do uczuć.

„Stacjonarni rozczekaniem” przechodzimy „próbę oknoświatłą”. A „pierwszy łyk przedwiośniany”? – „wodnogwiezdny przebismak”. Też jest i pozwala naprawdę na wiele... Nie intencjonalnie ale faktycznie „wgrzyźć się / w jedno / podobieństwem życia / podarować Człowiekowi / szansę / konsumpcji / egzystencji”. Przymierzać „piosenki / błękitno smaczne / wspomnieniowarte”. Sztuka latania w jednym z tytułów jawi się jako sztuka znaku zapytania, a jednak trwa taka zumba-poezja warta tego, żeby „anioły się zapomniały” a „deficyt skrzydeł” dawał równowagę między wysokością nieba a horyzontem Ziemi. „W niedosycie / na rauszu / na głodzie / równomagii brak / wrzucić jeszcze / kawałek / dotaćcie!”.

Tak, zatańczę teraz, jutro, za tydzień... za to, co może być dobrego. Niezależnie od intencji kołysanych między wersami, Agnieszka Mąkinia mówi jednoznacznie „miłości i zumbie zawsze dzień

dobry”. Zachęcam Państwa, aby jej wierszom powiedzieć „dzień dobry”. Gwarantuję, że na takie „zawsze” odpowiedzą w czarodziejskim i spontanicznym stylu. W końcu to „równomagia”...

PROTOKÓŁ
kulturalny
Nr 84/2023

Agnieszka Mąkinia: „równomagia”, Wydawnictwo Kontekst, Poznań 2022.

Tadeusz Blumczyński

Pobiedziski cmentarz

Od Bożej Męki i w górę i w dół
równe rzędy zakończonych już bytów
szczelnie zakleszczonych w datach

od – do, od – do, od – do...

Ile cierpienia zmieści się między cyferkami?
Ile niespełnionych nadziei przysypała tutaj
ziemia?
Ilu z mijających mnie ludzi nie przyjdzie tu
znowu za rok?

Idę obarczony niedorzecznym poczuciem
winy,
że bezkarnie wynoszę stąd życie za bramę.
Może dlatego nie oglądam się za siebie.

Przy krzyżu zwieńczonym cierniem stoi
Ona – bezbożna, nieprzekupna
i jakoś tak dziwnie się uśmiecha.

Maria Kogut

tutaj
kobiety chodzą siedzą leżą
barwnymi bluzkami i legginsami
przełamują wszechobecną biel
nie malują ust jaskrawą szminką
nie układają włosów
trzymają się kurczowo swoich telefonów
by nie stracić więzi ze światem
z którego tu przyszły
na widok odwiedzających
zakładają naprędce
dobrze skrojone uśmiechy

wieczorami w czerń nocy
wsiąkają ich łzy bezradności

Poezja rozwoju

Turek nie posiada licznego środowiska literackiego. Każdemu jednak jako tako zorientowanemu w temacie kojarzy się z Miejską Biblioteką Publiczną im. Włodzimierza Pietrzaka, konkursem poetyckim i osobą Lecha Lamenta. Twórca to niezwykle płodny i wszechstronny; poeta, tekściarz (w najlepszym tego słowa znaczeniu), rzeźbiarz, malarz i grafik. Szeroki wachlarz jego możliwości polega nie tylko na łączeniu sztuk, lecz zasadza się także w samej literackiej dziedzinie. Gdyby prześledzić bogaty ilościowo dorobek poetycki Lamenta, to łatwo dostrzec, że autor sprawnie porusza się w różnych odmianach poezji lirycznej, od wiersza wolnego po utwory numeryczne, w tym teksty piosenek i oktostychy, a takimi właśnie są wiersze zebrane w tomie „Okolice nadmiaru”.

Lament podjął się zadania trudnego. Trud ten polega z jednej strony na przestrzeganiu reguł określonych wymogami gatunku, a z drugiej – unikaniu banału, jakim grozi użycie rymu i względnego rytmu. Obecnie w kraju na skutek nadprodukcji utworów (czasem mylnie nazywanych poezją) aż roi się od tekstów nieważnych, pisanych pod wpływem silnych emocji, niekiedy głębszych uczuć, np. religijnych, które bez należytego warsztatu i dystansu nikogo nie są w stanie zainteresować. Co najwyżej wzbudzą odruch niechęci i politowania. U Lamenta jest przecież inaczej.

Artur Jurgawka, niezjący już admirator poezji Lecha Lamenta, w jednym ze wstępów do tej twórczości pisał, że w poszukiwaniu duchowych dróg poetę trudno podejrzewać o koniunkturalizm. Nawet wtedy, gdy jednym z mistrzów czyni Jana Pawła II (tom „Droga na Górę Synaj”). Wszak to tylko etap na drodze penetracji własnego wnętrza i swoistej wewnętrznej synchronizacji. Dlatego nowy zbiór wierszy, oktostychów „Okolice nadmiaru”, nie powinien zaskakiwać. Przecież forma, jak również podejmowana tematyka, to tylko (albo aż) naturalny dla autora efekt szukania dla siebie optymalnych ekwiwalentów dla wyrażania tego, co istotne. Z tej perspektywy ważne są ulewa, kwietniowa odwilż, świt, nocna burza, sztorm... W ogóle rzeczywistość wyznaczana naturą, zjawiska przyrody, to niezwykle ważne, powtarzające się z dużą częstotliwością, poetyckie rekwizyty. No właśnie, rekwizyty, które służą czemuś ważniejszemu. Nie jest to bowiem wyłącznie poezja pejzażu. To nie strofy, które mają czytelnikowi dostarczyć tylko estetycznych przeżyć. Każdy element przywołany z natury, czy to brzask, czy mgła, czy też mroźny poranek, jest przez poetę przefiltrowany. Staje się pretekstem, by pisać o sobie, własnym wewnętrznym świecie, wypełnionym refleksją i naznaczonym samotnością. Trzeba umieć być ze sobą, by potrafić być z innymi. To dość oczywista prawda, powtarzana przez psychologów. Leszek Lament pozostaje w tym względzie wiernym ich uczniem. Samotność w tych wierszach (także w innych zbiorach Lamenta) nie jest pustą udręką, którą autor stara się epatować. Odwrotnie – jest ona oczywistym stanem ducha, rodzajem trampoliny, od której można się odbić, by wznieść się wyżej. Samotność egzystencji, samotność tworzenia, samotność wewnętrznej formacji; w wypadku Lamenta tylko tak

można poważnie myśleć o społecznej – w konsekwencji – roli artysty.

W „Okolicach nadmiaru” niemal każdy z oktostychów zawiera odniesienie do transcendencji. Zatem poeta malując obraz i wychodząc od jego szczegółu zwraca się ku uniwersum, podobnie jak czynili to mistrzowie japońskiego haiku. Przekonuje o tym choćby kilka z brzegu przykładów: *Wyzłociły się groby pomiędzy brzoźami. / Świecą jakby były wielkimi zniczami. / Ścieżka pnie się przy nich od drzewa do drzewa, / niczym Jakubowa Drabina do nieba* („Wiejski cmentarz”); *Nad lasem słońce jasno płonie, / żółtoczerwony blask rozsiwa. / Chrystus błagalnie uniośł głowę, / jak gdyby wstąpić chciał do nieba* („Dąb”); *Tak wcześniej o świcie słychać tylko ptaki, / jedynie ślady racic zostały na brzegu. / Zaręczają się z sobą motyle i kwiaty. / Słońce kłania się w wodzie pogodnemu niebu* („Słoneczne przebudzenie”) itd.

Wiersze w tym zbiorze mogą przy pobieżnej lekturze wydawać się w jakiś sposób blahe, będące formą ucieczki od zagmatwanej rzeczywistości. Pejzaż, pory roku – coś jakby z makatki nad łóżkiem... W tym miejscu warto sobie przypomnieć „Świat. Poema naiwne” Czesława Miłosza – cykl wierszy z 1943 r. To obraz świata, jaki powinien być, a nie taki, jaki w istocie wówczas był. To także próba uporządkowania chaosu według podstawowych i uniwersalnych wartości – platońskiej triady Dobra, Prawdy i Piękna. Echa takiej koncepcji uprawiania poezji, jakże bliskiej życiu, znajdujemy w najnowszym zbiorze Lamenta. Podobieństwo tegoż pomysłu, zapewne niezamierzone, jest tu wprost uderzające. W rzeczywistości, ogarniętej entropią, każdy wysiłek ustawienia jej elementów w jakiś porządek jest przecież zmaganiem się z lękiem, ba – bólem istnienia, tak bardzo obecnym w tej twórczości. Ale obok tego dramatycznego nachylenia jest to również – paradoksalnie – poezja ciszy i spokoju, kojąca rozedrganie jak delikatne światło księżyca. Wszak księżyc jest w całej twórczości turkowskiego poety jedną z głównych figur, także w „Okolicach nadmiaru”, m.in. w wierszach „Magia księżyca”, „Bezszenność”, „Mglisty poranek”, „Nocna cisza”, „Łódź księżyca”, „Na mokradłach”, „Słoneczny zegar”, „Zapis nocy” i wielu innych.

„Okolice nadmiaru” wypełnione są tekstami, w których pobrzmiwa nuta „tekściarskiej” pasji Lamenta. Jest przecież także autorem piosenek. Jego oktostychy, dążące do w miarę klasycznej formy (autor osiem wersów ujął w dwie strofy, rezygnując z układu dwuwiersowego), opatrzył w rymy zazwyczaj parzyste lub krzyżowe, dając sobie jednak swobodę w zakresie ich dokładności. To dość naturalny zabieg, by forma nie przytłaczała treści i jej nie ograniczała. Całość tomu uzupełniają grafiki, bardzo dla tego autora charakterystyczne, więc rozpoznawalne.

Jeśli śledzi się dłużej drogę twórczą Lecha Lamenta, można dojść do wniosku, że poeta ten literaturę traktuje jako stymulator własnego duchowego rozwoju, z typowymi dla tego rozwoju etapami. Zdarzało się, że wcześniej nie uniknął dydaktyzmu, jak np. w „Drodze na Górę Synaj”. W „Okolicach nadmiaru” takiego tonu nie usłyszymy. To poezja, na falach której można się położyć i z nurtem tej spokojnej rzeki płynąć.

Lech Lament, „Okolice nadmiaru. Oktostychy”, Turek 2022.

Dziennik 2018

13 lutego 2018

Z samego rana udaliśmy się nad jezioro Storlule, do chaty Mäaraków. Sypał śnieg i było minus dziesięć. Prawą stroną białej szosy szły dwa renifery. Nie dało się ich wyprzedzić, a miały tempo spacerowe. Dopiero po wielu klaksonach, łaskawie usunęły się na bok.

Pięć lat temu, kiedy jechaliśmy zobaczyć góry, przez szosę akurat przechodziło całe stado. Z wrażenia zapomniałam robić zdjęcia. Patrzyłam, jak reny różnej maści paradują tuż przed maską i kręcą się na poboczach. Nie sposób było je policzyć. Anta zdjął nogę z gazu i posuwaliśmy się żółtym tempem, przy otwartych drzwiach auta, otoczeni przez rogaty tłum.

Teraz poza tymi dwoma, szosa była pusta. Ujechaliśmy znaczny kawałek i Anta zaparkował. Dalej trzeba było zasuwać na nartach. Trudno mi się szło po wygładzonej nawierzchni i modliłam się w duchu o jakieś zejście w bok. A tu nic, tylko szpalery białych świerków po obu stronach. I zleżały puch, zgarnięty przez sprzęt drogowy, uformowany w niekończący się nasyp. Na szczęście Anta jak zwykle wiedział, w którym miejscu trzeba ten nasyp przekroczyć i zejść na położone niżej bagno. Posuwałam się po jego śladzie, bo jak zwykle podkręcił tempo, żeby uporać się z robotą. Miał zrzucić z dachu śnieg. Nie spieszyłam się, rozpoznając teren sprzed trzech lat. Natomiast widok chaty z daleka zaskoczył mnie: wyglądała na znacznie mniejszą niż w rzeczywistości, z kolei Anta, pracujący na dachu, wydawał się dwa razy większy. Cóż, zwykle złudzenie optyczne. Dla mnie jednak był to rodzaj zimowego czarunku, czy zwidu, których w Laponii nie brakuje.

Podjechałam najbliżej, jak się dało. Odpięłam narty i zatknęłam je w zaspę przed chatą. Wchodząc do środka, poczułam ziąb a jednocześnie przyjemny zapach palącego się drewna. W piecyku buzował ogień, na blasze stał gar ze śniegiem. Nie zdejmując kurtki, usiadłam na zimnym krześle i zaczęłam robić notatki zimnym długopisem w zimnym zeszycie. W normalnych warunkach nie zwraca się uwagi na temperaturę przedmiotów.

Anta zszedł z dachu i już po chwili pojadaliśmy chleb z żółtym serem, siorbiąc gorącą herbatę. No i nasłuchiłam się ciekawostek o rosomakach; w końcu Anta jest biologiem, żyjącym z przyrodą za pan brat. Kilka faktów szczególnie utkwiło mi w pamięci: kiedy renifer zajęty jest rozkopywaniem śniegu w poszukiwaniu pokarmu, polujący rosomak zaczyna się, skacze mu na plecy i przegryza rdzeń kręgowy. Natomiast jeśli renifery zbijają się w stado, przeskakuje z grzbietu na grzbiet, uśmiercając jednego po drugim. Najbardziej jednak uderzyło mnie to, że swoim młodym często przynosi z polowania głowę rena.

Z mniej drastycznych informacji warto odnotować, że intrygujące mnie od samego początku czarne, plastikowe worki zawieszane na kijach, zatkniętych w śniegu wzdłuż szosy, to znak dla kierowców, że stada puszczane są wolno i renifery w każdej chwili mogą wyjść z lasu na szosę. Jak te dwa, rano.

14 lutego 2018

Od wczoraj jesteśmy w Jokkmokk, w ciepłym, przyjaznym domu Mäaraków. Wszystko na swoim miejscu, jak zapamiętałam: lapońskie buty Johana z białą beżowego futra renifera, z wywiniętymi w górę czubkami, ozdobione czerwonymi pomponami leżą u góry schodów. W kuchni, na ścianie jesienna fotografia dużego formatu, zrobiona z lotu ptaka. Przedstawia miejsce wśród lasów i bagien, z którego pochodzi Johan. Okrągły ptasi zegar spokojnie odmierza czas. Na szafce wisi pęk oryginalnych lapońskich łyżek, a raczej czerpaków, wydrążonych w drewnie, bogato zdobionych. Na parapecie, między innymi drobiazgami białą, porcelanową pardwą, symbol Laponii. Pozostałe obrazy i fotografie, wiszące na ścianach mogłabym opisywać z zamkniętymi oczami, jak choćby tę

*Pod białym niebem
rogów bujna gęstwina
spęd reniferów*

*Under vit himmel
hornens frodiga busksnår
dags för renskiljning*

I już Środa Popielcowa, w religii luteranckiej nie znana. Valborg wyjechała, zostaliśmy sami z Johanem, nie licząc kotów. Codziennie wpada tu Kicki i je dokarmia. Czyli, jak mówi Anta, można się objąć (...)

Ciekawe, jak gruba jest lodowa pokrywa Talvatis. Pamiętam, że gdy wchodziłam nań po raz pierwszy, drżały mi kolana. Teraz nawet nie myślę o tym, jak daleko do dna. Na środku jeziora minął mnie ryczący skuter śnieżny, potem ktoś na sparaku, ciągniętym przez dwa psy. Kobieta z husky na smyczy oraz dziewczynka na nartach pozdrowiły mnie, choć wcale się nie znałyśmy. Takie tu miłe zwyczaje. A chmury ułożyły się warstwowo w szafrowe i szaro-żółte pasy. Choć słońca nie widać od kilku dni, niebo zawsze jest ciekawe. Kontemplując ten fakt, brnęłam po kolana w śniegu, zasłuchana w radosny ptasi rejwach. Dla takich chwil tu jestem. I im podobnych... W drodze powrotnej spotkałam człowieka niskiego wzrostu, w roboczym kombinezonie. Ubijał śnieg małym pojazdem na gąsienicach. Zagadał do mnie po angielsku. Mówił o słońcu, którego teraz z dnia na dzień ma przybywać. Pytał, czy jeżdżę na nartach. Okazało się też, że zna Johana. Na koniec podał mi rękę, skłonił się z galanterią i przedstawił z imienia i nazwiska. Brzmiało po lapońsku, ale nie byłam w stanie zapamiętać. Dorzucił jeszcze szwedzkie – hej da! i wrócił do ubijania śniegu.

Fragment przygotowywanej do druku książki "Mój lapoński sen 2". Wiersze w tłumaczeniu Andrzeja Szmała.

Jedno jest pewne

Najpierw myślałem, że to nic takiego. Oczywiście, planowaliśmy dzieci i nie zdziwiłbym się, gdyby przyszedł taki moment, kiedy moja żona poinformowałaby mnie o tym, że jest w ciąży. Maria bardzo lubiła dzieci i wiedziałem, że od dnia naszego ślubu, niecierpliwie oczekuje chwili, w której się dowie, że zostanie matką. Sam nie wiedziałem, kiedy też się wciągnęłam w to całe czekanie. Mechanizm był prosty. Wiedząc, jak bardzo przyścinie dziecka ją uszczęśliwi, podświadomie czekałam. Najpierw pół roku, potem rok, ale wyczekiwany moment nie nadchodził. Niby nic złego się nie działo. Chodziliśmy do pracy, a po południu i wieczorami cieszyliśmy się sobą. Byliśmy młodzi i zakochani w sobie do szaleństwa. Zdawało mi się wtedy, że nie ma drugiej tak bardzo zgodnej i kochającej się pary. Marysia była śliczna i zgrabna. Ludzie często mówili, że ładna miska jeść nie daje, ale moja żona zdawała się zaprzeczać tym ludowym pseudomądrościami. Zawsze mogłem na nią liczyć. Była rozsądna i przyjacielska. Właściwie mogłem czuć się przy niej bardzo szczęśliwy, gdyby nie...

No właśnie. W drugim roku naszego małżeństwa, pierwszy raz zauważyłem, że Maryśka częściej robi badania i odwiedza różnych lekarzy. Kiedy dołożyłem do tego nagłe zmiany nastroju, doszedłem do jedynie nasuwającego się wniosku, że musi być na coś chora. Nic mi nie mówi, bo nie chce mnie martwić. Postanowiłem ją po prostu zapytać. Nie chciałem się niczego domyślać. Byliśmy małżeństwem już jakiś czas i nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic. Kiedyś po powrocie z pracy usiadłem blisko przy niej na kanapie i zapytałem, dlaczego tak często chodzi do lekarza i po co robi tyle różnych badań. Czym się tak strasznie martwi. Żeby nie wyjść na ciekawskiego, powiedziałem, że ten jej stan zaczyna mnie martwić. Maryśka wtuliła się we mnie i głośno się rozszochała. Wtedy nabrałem naprawdę złych przeczuc. Przez głowę przebiegały mi najróżniejsze choroby, które znałem. Moje myśli krążyły wokół nowotworów i białaczki. A może ma jakąś wadę serca? Tak czy inaczej powinna mi o wszystkim powiedzieć. Takie zmartwienie najlepiej przeżywać razem. Dlaczego postanowiła zmierzyć się z tym problemem sama? Nie miałem pojęcia.

Głaskałem jej lśniące i długie włosy i czekałem. Wiedziałem, że tym razem jej nie odpuszczę. Nie wyjdę z pokoju, póki się nie dowiem, co tak bardzo ją gryzie. Musiałem czekać bardzo długo. Kiedy w końcu zaczęła mówić, jej głos brzmiał cicho i niepewnie. Okazało się, że brak ciąży jest tym kłopotem. Mogłem się sam tego domyślić. Odwiedziła różnych ginekologów i internistów. Była nawet u wróżki. Co prawda, wróżka oddała jej pieniądze i powiedziała, że o tym, co zobaczyła w kartach w ogóle nie chce mówić ani słowa. Potem półśłówkami zaczęła coś, że niby dziecko będzie, ale dzieci, to jest mnóstwo szczęścia i kłopotów. Więcej niczego nie chciała dodać. Ale, co tam wróżka. Nie ma czego wspominać. Przecież żadnych konkretów nie wyjawiała. Dziwiło mnie tylko, że tych pieniędzy nie chciała wziąć.

Po rozmowie z Marysią miałem sporo na głowie. Ona była przebadana wzdłuż i w szerz. Wszystko u niej wyglądało na zdrowe. Teraz przyszła kolej na mnie. Normalnie machnąłbym ręką i czekał, co przyniesie nam los. Mieliliśmy przed sobą całe, długie życie. Nie było się przecież do czego spieszyć. Tylko, że moja żona z każdym dniem miała w oczach coraz więcej cierpienia. Te różnorodne badania nie należały do przyjemności. Ten docent, który wszystko nadzorował, powiedział na koniec, że byłem bardzo dzielny. Jednak nie posunęliśmy się ani o krok naprzód. Z mojej strony też nie było żadnych przeszkód. Okazałem się zdrowy, jak rydz. Moja mama tak zawsze mówiła. Nie wiem, dlaczego akurat rydz, ale tak często to powtarzała, że weszło spokojnie do mojego słownika.

Lekarze radzili, żeby się uzbroić w cierpliwość i po prostu czekać. Dawali nam spore szanse. Mówili, że czasami tak to jest. Długo dziecka nie ma, aż potem nagle przeszkody znikają i wszystko staje się możliwe. Jednak czas mijał, a dziecko się nie pojawiało. Kiedy dwa lata po naszym ślubie pierwszy raz napomknąłem o adopcji, Maryśka wyglądała na zaskoczoną. Chyba nie brała takiej ewentualności pod uwagę. Nasłuchałem się od niej o tym, że przy adopcji nie wiemy skąd to dziecko do nas przychodzi, kim byli jego rodzice. Może jacyś kryminaliści albo na coś chorzy i te wady ujawnią się w rozwijającym się dziecku. Krótko mówiąc nie chciała słyszeć o adopcji. Postanowiłem nigdy do tego tematu nie wracać.



Kiedy Jacuś pojawił się w naszym domu, zaczął się zupełnie nowy rozdział. Zmieniło się absolutnie wszystko. Byliśmy w końcu prawdziwą rodziną. Maria tryskała humorem na co dzień. Tak szczęśliwej nie widziałem jej nigdy. Zdarzało się, że mały był przeziębiony i budził się wielokrotnie

w nocy. Maryśka wstawała cierpliwie i nie okazywała ani śladu zmęczenia czy złości.

Patrzyłem na to wszystko z bliska i codziennie utwierdzałem się w przekonaniu, że nasza decyzja o adopcji, chociaż trudna do podjęcia, była ze wszech miar słuszną. Zastanawiałem się tylko nad tym, kim byli jego rodzice. Nasz synek nie odziedziczył po nas żadnej cechy charakteru. Chwając się nim, nie będę mógł powiedzieć: „Proszę bardzo, oto moja krew”. Czytałem kiedyś artykuły o tym, co decyduje o charakterze. Czy ważniejsze są cechy dziedziczne, czy nabyte w dzieciństwie i wczesnej młodości. Co waży więcej: geny czy otaczające środowisko. Z jednej strony skąd mogłem wiedzieć, co wyrosnie z nasienia, którego pochodzenia nie znaleźliśmy. Patrząc na to inaczej, to przecież my mieliśmy Jacka wychowywać prawie od samego urodzenia. Możemy opowiedzieć mu świat po swojemu. Nauczyć go wszystkiego po kole i zaszczerpić mu najlepsze naszym zdaniem wzorce.

Mimo to patrząc na naszego synka, układającego klocki po powrocie z przedszkola, czułem rosnącą presję. Musieliśmy sprawić, aby mały, którego wzięliśmy pod swoje skrzydła, wyrósł na człowieka w pełni odpowiedzialnego. Łamałem głowę nad tym, czy Maryśka w danej chwili zanadto go nie rozpieszczą. Fakt, że pozwalała mu na wiele. Ale nie było się czym martwić. Jacek rósł zdrowy i często się uśmiechał. Kiedy poszedł do szkoły, zdecydowaliśmy się zmienić miejsce zamieszkania. Przeprowadziliśmy się z Suwałk do Poznania. Do stałem świetną pracę. Maria też zaczęła się w tej samej firmie, w dziale płac. Wychowawczynie klas od jeden do trzy, nie mogła się Jacka chwalić. Był inteligentny, doskonale przyswajał wiedzę. Był wesoły i przyjaźnie nastawiony wobec innych dzieci. Już przed naszym wyjazdem z Suwałk, mieliśmy zamiar z nim porozmawiać i wytłumaczyć mu wszystko. Po prostu, tak, jak mówi się do dziecka, o tym, że jest adoptowany. Ale przecież to my z Maryśką kochamy go najbardziej i to na nas może liczyć w każdym momencie.

Do dzisiaj nie mogę pojąć, jak to się stało, że do takiej rozmowy nie doszło. Nauczyciele mówili, że taki synek, to prawdziwy skarb. Lata miały, a rozmowa ciągle wisiła w powietrzu. W rozmowie z Maryśką, nawiązywałem do tego tematu parokrotnie. Głównie dlatego, że chciałem zwyczajnie mieć ten obowiązek za sobą. Jednak Maria jakoś bagatelizowała ten problem. Ona też się bała i nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Z dzieckiem siedmioletnim sprawa byłaby o wiele prostsza. Niestety, z jedenastoletkiem, to już całkiem inna historia.

Nadszedł w końcu ten majowy dzień, kiedy zrozumieliśmy, że przegapiliśmy daną nam szansę i rozmowa z Jackiem stała się rzeczą niemożliwą. Po zjedzonym obiedzie, nasz syn oświadczył nam, że na lekcji języka polskiego omawiali krótkie opowiadanie, które traktowało o adoptowanej dziewczynce. Widać było, że Jacek jest poruszony do głębi. Nie słyszałem u niego nigdy przedtem tak ostrego tonu. Bardzo dobitnie dał nam do zrozumienia, że gdyby on był adoptowanym dzieckiem, chciałby o tym wiedzieć. Jakby już się dowiedział, to szukałby swoich biologicznych rodziców tak długo, jakby to było konieczne. A takie zachowanie rodziców adopcyjnych, którzy nie powiedzieliby synowi o jego adopcji, nazwał pospolitym świństwem. Wyjątkowo jasno wyraził swoje zdanie. Spojrzeliśmy tylko z żoną na siebie. Wszystko nagle stało się jasne. Oboje wiedzieliśmy, że od nas

na pewno się niczym nie dowie. Odtąd cała nasza troska szła przede wszystkim w jednym kierunku - żeby się tylko nic nie wydało. Musieliśmy dołożyć wszelkich starań, żeby nasz syn niczego się nie dowiedział.

Jacek skończył szkołę podstawową z ocenami najlepszymi w całej szkole. Prześcignął uczniów czterech klas ósmych. Byliśmy bardzo dumni. W liceum też nie sprawiał żadnych kłopotów. Zawsze na koniec roku miał świetne świadectwo. Trenował szermierkę, zapasy i koszykówkę. Miał powodzenie u dziewczyn, ale jakoś nie przedstawił nam tej jedynej. Miał koleżanki w hali szermierczej i w klasie. Wielkimi krokami zbliżała się matura. Jacek zastanawiał się, jaki wybrać kierunek studiów. Dla niego wybór był naprawdę trudny, skoro miał szóstkę z większości przedmiotów. Zainteresowań też miał wiele. Mimo to znajdował czas, żeby pomóc nam w pracach na działce. Zrobił też bez trudu prawo jazdy. Ilekroć byliśmy na jakiejś imprezie we trójkę, mogłem sobie wypić piwko albo drinka, a Jacek był naszym kierowcą. Nigdy się nie bałem, kiedy siadał za kierownicą, bo radził sobie świetnie. Przy tym był zawsze rozsądny i odpowiedzialny.

Jakoś w lipcu, kiedy zdawał egzaminy na studia, zauważyłem nową sąsiadkę. Dwie klatki dalej, w naszym bloku, zamieszkała pani Ela, chyba największa plotkarka w całych Suwałkach. Ja to się mogło stać, że przywlokła się za nami aż tutaj? Najpierw udawałem, że jej nie znam. Niestety ona przyznawała się do mnie i za każdym razem, na pocztce, w sklepie czy na ulicy, pozdrawiała mnie ochoczo, uniesioną ręką. Moja żona po cichu popłakiwała. Ja zgrzytałem zębami i spodziewałem się najgorszej katastrofy. Sprzedaliśmy mieszkanie i kupiliśmy inne, w dzielnicy na drugim końcu miasta. Jacek nawet się ucieszył, bo miał stamtąd bliżej na Politechnikę. Od października zaczął studiować architekturę i miał całe mnóstwo nowych kolegów. Coraz częściej całą dużą grupą, umawiali się na weekendowe wyjazdy w góry. Jacek był zakochany w górach, a turystyka była jednym z jego ulubionych zajęć.

Kiedy nasz syn wyjeżdżał z ekipą w góry, mieliśmy z Maryśką nowy rytuał. Zapalaliśmy wszędzie pełno świeczek i odmawialiśmy całutki różaniec, prosząc Boga, żeby Jacek nigdy nie dowiedział się o adopcji. To, co mogło być kiedyś z naszej strony prostym wyjaśnieniem, zaledwie komunikatem spokojnie zaakceptowanym przez ufnego siedmiolatka, stało się dla nas życiowym problemem. Zamiast całować usta mojej cudnej żony, klęczałem na twardej podłodze obok łóżka i prosiłem o to, żeby syn się nie dowiedział...

Krzysztof Galas – poeta, prozaik, publicysta, kompozytor i pieśniarz. Autor 10 książek poetyckich i 3 prozatorskich. Z żoną Aliną tworzą duet SOBIE PRZEZNACZENI. Od 20 lat śpiewają piosenki poetyckie z tekstami własnymi i wielu innych poetów. Odznaczony odznaką honorową „Za zasługi dla województwa wielkopolskiego” i odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

W 1980 roku reprezentował Polskę w Paraolimpiadzie w Arnheim (Holandia), w kategorii niewidomych pływaków.

Lech Wojciech Szajdak

Grupa Poetycka „Wołyń” w rumuńskim Cluj-Napoca

Czwartego października w Centralnej Bibliotece Uniwersyteckiej im. „Luciana Blagi” w Cluj-Napoca, Rumunia otwarto wernisaż wystawy dedykowanej Grupie Poetyckiej „Wołyń”. W okresie międzywojennym Cluj-Napoca (wówczas jedynie Cluj) służbowo odwiedzała Kazimiera Iłakowiczówna (wnuczka Tomasza Zana) piastując stanowisko sekretarza marszałka Piłsudskiego. Poetka w tym mieście spędziła okres 1939-1947. W Cluj-Napoca znajduje się tablica dwujęzyczna polsko-rumuńska informująca o pobycie Iłakowiczówny w tym mieście. Grupa Poetycka „Wołyń” utworzona została w latach trzydziestych XX wieku z inicjatywy Czesława Janczarskiego. Współorganizatorami byli: Wacław Iwaniuk, Stefan Szajdak i Zygmunt Jan Rumel. W późniejszym okresie do Grupy dołączyli lub z nią współpracowali: Zuzanna Ginczanka, Józef Łobodowski, Jan Śpiewak, Władysław Milczarek, Stefan Bardczak, Bazyli Podmajstrowicz i Zofia Wierzbicka.

Stefan Szajdak pochodzący z Wielkopolski i po wojnie mieszkający w Środzie Wlkp. był jedynym członkiem grupy nieposiadającym wołyńskich korzeni. Autorem wystawy był Lech Wojciech Szajdak, syn Stefana Szajdaka współzałożyciela Grupy Poetyckiej „Wołyń”. Uprzednio wystawa prezentowana była w Polsce i w Ukrainie. Elementami wystawy było 70 tomików wierszy członków Grupy Poetyckiej „Wołyń” opublikowanych w Polsce oraz w wydawnictwach emigracyjnych (Instytut Literacki w Paryżu, Wydawnictwo Światowego Związku Polaków z Zagranicy, U Tyszkiewicza w Nicejskiej Filii tej oficyny, Oficyna Poetów i Malarzy, Caldra House Limited, Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie, Gryf Printers w Londynie, Księgarnia Polska ORBIS w Londynie i innych). Program wernisażu zawierał wystąpienie Lecha Wojciecha Szajdaka, projekcję filmu „Zuzanna Ginczanka w kolorze”. W otwarciu uczestniczyła pani Natalia Moser, Dyrektor Instytutu Polskiego z Bukaresztu, pracownicy i słuchacze Centrum Kultury i Języka Polskiego Uniwersytetu Babeş-Bolyai w Cluj-Napoca, pracownicy naukowci i studenci oraz inne osoby. Warte podkreślenia jest, że wystawę sfinansowała Centralna Biblioteka Uniwersytecka im. Luciana Blagi. Twórczość członków Grupy Poetyckiej „Wołyń” odnosi się do dialogu, współpracy i porozumienia między narodem polskim i ukraińskim. Przykładem są wiersze Jana Zygmunta Rumla, w których poeta pisze o swoich dwóch matkach – polskiej i ukraińskiej. Po drugiej wojnie światowej o niezbędnym dialogu między naszymi dwoma narodami i krajami pisali wielokrotnie Józef Łobodowski i Wacław Iwaniuk w utworach zamieszczonych w „Kulturze Paryskiej”.

Tak się, bowiem stało, że tragiczny splot historii miał zarówno wpływ na życiorysy, jak i na recepcję twórczości. Grupa nie jest tak znana jak np. Skamander, czy (głównie dzięki Czesławowi Miłoszowi) wileńskie Żagary lub krakowska bądź lubelska awangarda.

Wołyńscy poeci, debiutujący w latach trzydziestych, działali w miastach kresowych, takich jak Równe, Łuck, Kiwerce, Krzemieniec, Włodzimierz Wołyński, z dala od centrów akademickich i kultury. Wydawali pierwsze tomiki poetyckie w niskich nakładach, w skromnej szacie graficznej. Jednak dzięki ich wartości artystycznej tworzyły one znaczące elementy w kulturze Kresów, bo wiersze ich niezwykle pięknie utralają tamten miniony świat, sięgają do obrzędów, wyobrażeń, bogactwa kultury ludowej oraz piękna wołyńskiego krajobrazu.



Budynek Centralnej Biblioteki Uniwersyteckiej im Luciana Blagi w Cluj-Napoca (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

Marzena Przekwas-Sięmiątkowska

Babciu masz coś słodkiego

do Moniki babcia przychodzi często
w środku nocy wyganiają z domu
nieistniejącego zwierza
dało się nawet wkręcić świadomego Łukasza
biega z miotłą by popędzić kota kotu

Monika czeka na chłopca
babcia jej przepowiada że będzie dorodna
córka
widzą się na sali porodowej

następnie w domu
siada w fartuchu na brzegu łóżka
rozdaje cukierki z bombonierki

mówi że czuje się jak *stara spróchniało*
wirzba

i nie ma już czucia w palcach

wciąż zapomina że umarła

Jerzy Jernas

Florian Jernas – zapomniany poeta

Zginął w kampanii wrzesniowej w bitwie nad Bzurą mając zaledwie 25 lat. Był przedwojennym oficerem. To zadecydowało o tym, że po II wojnie światowej, jak i w czasach stalinowskich oraz następujących po nich dekadach nie wpisywał się w obraz proletariusza. Jego postać nie przystawała do innych „dżentelmenów” z tej części Europy. Był po prostu inny – staromodny, a może nawet kojarzył się niektórym z wrogiem klasowym.

Florian Jernas urodził się 26 listopada 1914 roku w Berlinie w rodzinie polskich emigrantów. Jego ojciec, prosty robotnik był socjalistą - ale nie w tym marksistowskim znaczeniu. Był raczej lewakiem. Zaraz po zwycięskim Powstaniu Wielkopolskim, jako zagorzali patrioci, przeprowadzili się do Poznania. Zamieszkali w robotniczej dzielnicy Wilda. Być może miało to istotny wpływ na jego dalsze społeczne podejście do dzieci z biednych domów, ale nie tylko. Trzeba przypomnieć, że w tamtych czasach Polska uzyskała niepodległość po ponad 100 latach. Wszyscy łaknęli polskości – polskich czasopism, polskiej literatury i po prostu polskości w każdym wymiarze. A czasy nastały trudne. W latach dwudziestych bieglego wieku wybuchł ogólnoswiatowy kryzys ekonomiczny. Wiele osób z dnia na dzień straciło pracę. A byli to głównie mężczyźni, którzy utrzymywali swoje zazwyczaj liczne rodziny.

Ale wróćmy do Floriana Jernasa. W 1933 roku ukończył Państwowe Seminarium Nauczycielskie Męskie w Poznaniu. Jego nauczycielem i późniejszym promotorem twórczości literackiej był Jan Sztudynger. Młody poznaniak po ukończeniu Seminarium pracował w sześciu szkołach powszechnych oraz na kursach przygotowujących do ukończenia 7 klasy szkoły powszechnej oraz przygotowujących do gimnazjum. Ponadto prowadził wykłady m.in. na Uniwersytecie Powszechnym, w Związku Towarzystw Ogródków Działkowych, Związku Strzeleckim, czy Związku Rezerwistów w Poznaniu. Ponadto był przewodnikiem turystycznym i kierownikiem drużyny harcerskiej oraz kierownikiem świetlicy dla bezrobotnych. Był również kierownikiem kolonii w Rabce organizowanych dla dzieci poznańskich kolejarzy. Ważną część swojej energii poświęcił na pracę dziennikarską, zarówno w formie słowa pisanego, jak pracy radiowej. Był redaktorem naczelnym gazetki adresowanych do dzieci i młodzieży. Należy tutaj wymienić m.in. „Lilijkę” i „Naszą Gazetkę”. Ale swoje teksty publikował także w wielu innych periodykach m.in. w „Dzienniku Poznańskim”, „Kurierze Poznańskim” i „Wiciach Wielkopolskich”. Czynnie współpracował najpierw z Rozgłośnią Radiową 57 Pułku Piechoty, a później z Rozgłośnią Poznańską Polskiego Radia. Przygotowywał reportaże, ale również słuchowiska radiowe dla dzieci. Wiele z nich było emitowanych na ogólnopolskiej antenie radiowej. Aby poszerzyć swoją wiedzę ukończył Wyższy Kurs Dziennikarski zorganizowany przy Wyższej Szkole Handlowej w Poznaniu.

Jako że pochodził z patriotycznej rodziny, odbył również Dywizyjny Kurs Podchorążych Piechoty, który ukończył w stopniu podporucznika. Na

rok przed wybuchem II wojny światowej zaprzestał pracy pedagogicznej z cywiliami.

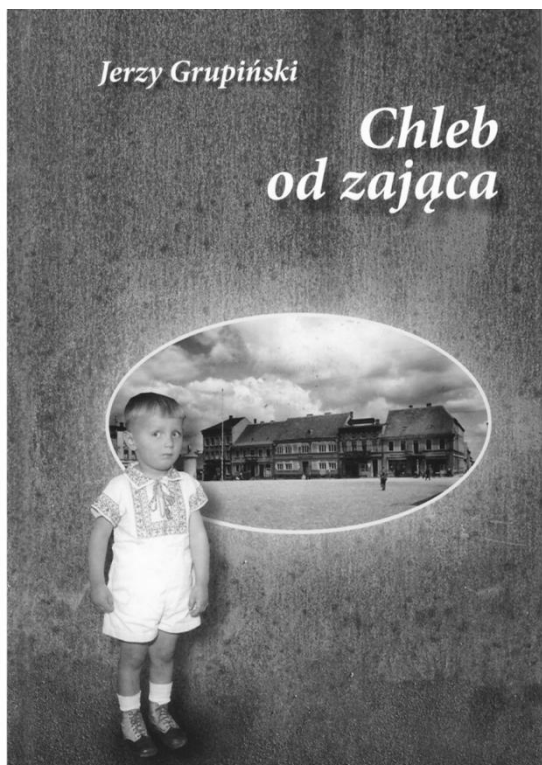
Został oficerem oświatowym 57 Pułku Piechoty. Już wcześniej napisał tekst marszu pułkowego oraz broszurę „Wizyta królewska w Biedrusku”, będącą relacją z uroczystości nadania honorowego dowództwa nad pułkiem królowi Rumunii Karolowi II. Kilka lat temu fundacja prowadzona przez autora niniejszego tekstu wydała w nakładzie 1000 egzemplarzy jej reprint. Został on przekazany do znajdującej się Biedrusku Biblioteki Centrum Wyszakowania Wojsk Lądowych oraz do Centralnej Biblioteki Wojskowej. Otrzymała ją także wielu mieszkańców Biedruska. Florian Jernas napisał również powieść „Podchorążowie”. W grudniu 1938 roku został członkiem Zarządu Domu Żołnierza w Poznaniu. Jego nazwisko umieszczone jest na pomniku Armii Poznań obok jego kolejnego promotora - generała Włada.

Dobrze, dobrze – ale to miała być opowieść o poznańskim literacie... A więc w 1933 roku Florian Jernas został wprowadzony przez Jana Sztudyngera do Literackiego Klubu Szyderców „Pod kaktusem”, a później do Związku Zawodowego Literatów Polskich. Jego działalność literacka obejmowała wiersze (w tym dla dzieci), ballady, opowiadania i powieści. W 1937 roku został wydany tomik poetycki „Księżyc nad Poznaniem”, który zawierał 18 utworów. Najślynniejszym z nich jest „Ballada bamberska”. Warte przypomnienia są również inne utwory zawarte w rozdziale „Rozmowy z Panem” m.in. „List skazańca”, „Modlitwa garbusa”, czy „Słońce w krwi”.

Przypomnijmy – Florian Jernas dokonał tego wszystkiego przez zaledwie kilkanaście lat swojego życia - zginął w kampanii wrzesniowej w Bitwie nad Bzurą mając 25 lat. Tak wiele chciał zrobić, że nie zdążył założyć rodziny. Przed wyruszeniem na front pieczołowicie uporządkował swoje notatki, rękopisy i wycinki prasowe - zapewne przeczuwając, że zbliża się kres jego życia. Przez całe dziesięciolecie mój ojciec pieczołowicie przechowywał wszystko, co pozostawił. Gdy już go zabrakło moja mama przekazała mi to wszystko mówiąc „Dbaj o to”. Obecnie cała jego spuścizna (w tym rękopisy) znajduje się w Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu. Florian Jernas pochowany jest na cmentarzu w Łęczycy – mogiła nr 441.



Florian Jernas – zdjęcie z archiwum rodzinnego



Chleb od zająca! – krzyczymy – gdy dziadek Józef, leśnik-łowczy wraca rowerem z lasu. Biegniemy, by zdjąć i rozsznurować plecak i z papieru wyjąć smaczkowite sznytki domowego, białego chleba.

„Chleb od zająca” – opowieść o dzieciństwie nad Wartą, w lasach Puszczy Noteckiej, w ostatnie lata drugiej wojny i pierwsze lata niepodległości. Zapiski prozą i wierszem, także portret środowiska i rodzinnego kręgu, wsparty wspomnieniami matki Joanny.

Nie tylko autobiograficzne wspomnienie. Wielowarstwowa i „wieloczasowa” mozaika opowieści o dawnym świecie. O przenikających się rytmach: sacrum i natury; o wielokulturowej rzeczywistości; o domu, rodzinie, historii, ludziach... Dzięki zastosowaniu szkatułkowej kompozycji, oddaniu głosu innym narratorom, czy to babci Helenie, czy to matce – autor rozszerza perspektywę swej opowieści. Czasowo – bo cofamy się aż do początku XVIII wieku. Przestrzennie – bo przenosimy się do Pianańki, Gniewomierza, Czarnkowa, Obrzycka, Poznania...

Robert Dorna

Publikacja pod patronatem Burmistrza Miasta i Gminy Wronki.

Wspomnienia z rękopisu spisała oraz słowniczek ułożyła Anna Kokot-Nowak.

Zdjęcia z archiwum autora wybrał i opracował Grzegorz Grupiński.

Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Poznań 2022.

Druk i oprawa – Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak.

Stefania Pruszyńska (Stefania Golenia), eseistka, poetka, aforystka, autorka utworów sztuki plastycznej. Dziennikarka i redaktor-korektor wydawnictw książkowych. Od 1989 r. w redakcjach i wydawnictwach (Dziennik Wielkopolan Dzisiaj, wydawnictwo US West Polska, tygodnik „Wprost”). Od 2006 r. redaktor naczelna i edytorka Gazety Autorskiej IMPRESJee.pl. Ma w dorobku liczne różnorodnego gatunkowe publikacje: w GA IMPRESJee.pl, własnym tomie poetyckim, czasopiśmie kulturalnym, antologiach poetyckich: w tym Międzynarodowej Konferencji Poetyckiej i dwujęzycznych antologiach poezji współczesnej (WO ZLP i Fundacji Literackiej „Jak podanie ręki”). Prace plastyczne prezentowała na 5 wystawach w Poznaniu i spotkaniach autorskich. Publikuje je w swojej gazecie, czasopiśmie i książkach. Nagrodzona w konkursie „Arkusza” (1996 r.) i „Dziennikarskimi Koziołkami” w 2017 r. Wiedzę akademicką zdobywała w UAM i Akademii Ekonomicznej. Zwolenniczka dialogu kultur, miłośniczka harmonii i sztuk wszelakich.



W numerze wykorzystano grafiki autorstwa Stefanii Pruszyńskiej.